



# BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

**Prenumerata w Warszawie:**

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymyńskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim

Zofii Seidlerowej.

*Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz *petitem* lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Eugenia Żmijewska.

STANOWISKO RODZICÓW

## WOBEC DZIECI I WYCHOWAWCÓW

Referat,

wyłoszony na Zjeździe Kobiet polskich.

(SEKCJA OGÓLNO-OŚWIATOWA).



Rozdzwięk pomiędzy dwoma pokoleniami jest smutną konsekwencją chronologiczną. Okres młodości rodziców musi poprzedzać o lat dwadzieścia, co najmniej, wiek młodych dzieci, a że świat był zawsze „postępowym,” bo z konieczności i z każdym obrotem ziemi dokoła osi szedł naprzeciw tym zdobyczom umysłowym i kulturalnym, które dotychczas osiągnął, więc każdy taki obrót oddalał przedstawicieli dwu najbliższych siebie okresów, spojonych ogniwem dziedziczności — rodziców i dzieci.

Z jednej strony brak pobłażliwości, z drugiej — lekceważenie doświadczeń.

Z chwilą, gdy po raz pierwszy z ust starszego pokolenia padły słowa: „Za naszych czasów bywało inaczej,” — oddzwiekim na nie musiało być: „Co wy-tam, starzy, wiecie!”

Te dwa, pełne tragizmu, okrzyki serca, były, są i będą objaśnieniem wiekuistych nieporozumień, które bodaj zażegnać się nie dadzą, tak jak niepodobna *wczoraj*, na *jutro* zamienić.

Winy ojców spadają na dzieci — nie w postaci kary Boskiej lub przekleństwa, lecz dlatego, iż dzieci, żyjąc po rodzicach, jako nieubłagana konsekwencją, muszą przyjmować wypadkową ich życia, muszą brać dziedzictwo chorób, znosić skutki majątkowych niepowodzeń, lekkomyślności, złej sławy.

Tragiczną jest chwila, gdy rodzice usłyszą po raz pierwszy z ust swoich dzieci: „Po co powołałście nas do życia? — na nędzę? na poniewierkę? na zmaganie się z życiem i ludźmi, z własną duszą, ze sobą?”

W obecnych czasach beznadziejności, na dziesięć rodzin, w trzech przynajmniej rodzi-

ce powoływani są w ten bluźnierczy sposób przed sąd swych dzieci.

*Bluźnierczy?* Takby powiedziano przed laty kilkudziesięciu, kilkunastu nawet, gdy nas jeszcze uczono, że *dzieci* powinny być *rodzicom wdzięczne za dar życia*. Według dzisiejszych pojęć, ten dar, wątpliwej wartości, nie jest dobrodziejstwem, lecz ciężką odpowiedzialnością, zaciąganą przez rodziców.

Ellena Key nazwała wiek XX-ty „stuleciem dziecka.” Można by go też nazwać „bankructwem rodziców” — u nas, zwłaszcza, w chwili obecnej.

I nie dlatego — bankructwem, że ten lub ów trybun opornym rodzicom wyznacza miejsce — na latarni. I nie dlatego, że na wiecach 14-letnie córki bluźnią władzy rodzicielskiej. Nie dlatego, że takie fakty zdarzać się mogą bezkarnie, że są wyrazem buntu; lecz dlatego, że rodzice bankrutują z własnej winy, że ten ich smutny los obecny jest wynikiem ich nieudolności wychowawczej, ich nietolerancyi, ich utylitarnych pojęć. Łatwo oburzać się, wznosić oczy do góry i wzywać pomsty sił wyższych; trudniej w sobie dojrzeć winy. Nic nigdy nie spotyka człowieka niezasażenie — wszystko, oprócz śmierci, a więc i wysuwanie się z naszych rąk władzy, wpływu, wszystko jest logicznym następstwem czynów naszych lub naszych przodków.

Po przyczynę dzisiejszego rozkiełznania młodzieży trzeba sięgnąć daleko, aż do Boćkowca i osławionej zasady, że „ródzka nikomu nigdy nie zawadzi.” Surowe matki, których cały rozum pedagogiczny polegał na łamaniu woli córek i naginaniu jej do swojej, na tworzeniu bez liku przepisów, regulaminów i zakazów, uczyniły wiek dorastającego dziewczęcia wiekiem fizycznych i moralnych tortur. Dzieci czuły się oddane — już nie na łaskę i nie-łaskę, lecz wprost na pastwę rodziców i wychowawców, którzy z zasady upatrywali w nich wady i drobne wykroczenia podnosili do wysokości zbrodni. Taki system panował w domach i na pensjach jeszcze przed laty trzydziestu.

Wychowane w nim dziewczęta, którym nie wolno było myśleć i działać samodzielnie, a nawet chodzić samym po ulicy i jeździć koleją, traciły w zarodku inicjatywę, energię,

tak potrzebną przy nowych warunkach bytu. Więc gdy za mąż wyszły i matkami zostały pierwszym ich pragnieniem było uchronić własne dzieci [od tych tortur — zapewnić im „dzieciństwo miłe.” Zamiast umiejętnie ująć cugle, wypuściły je z rąk zupełnie. Córki nie wychowywały się, lecz rosły i wyrosły na istoty bardziej samowolne, niż samodzielne, nieokiełznane żadnymi obowiązkami, nerwowe, a gdy one z kolei matkami się stały, nie „prowadziły,” lecz szarpały i popychały gorączkowo swe dzieci, to w jedną, to w drugą stronę, wedle humoru.

Przytem obniżył się poziom ideałów. Po powstaniu 1863-go r. nastąpiła reakcja. Wielkie hasła okazały się — nieziszczalnemi. Duch, gnębiony, pełzał po ziemi, borykał się w walce o chleb powszedni. Matki surowe mogły jeszcze zachować urok, bo imponowały dzieciom nie tylko srogością, ale i szlachetnością zasad.

Rewolucye i powstania zrujnowały wiele rodzin, zaprzęły je do pługa pracy ciężkiej, wyrobniczej. Brak swobody słowa zacieśnił horyzonty. Ciężkie zapasy o byt zmateryalizowały społeczeństwo, wszczepiły w nie zasady filisterskie, utylitarne — niewola wyciska zawsze swe piętno. Lecz oto zaświtał błady promyk wolności. Olśnił młode pokolenie. Rodzice stanęli wobec niego, jak człowiek, przebywający długo w podziemiach. Osłabione mrokiem oczy nie mogą się oswoić z blaskiem słońca. Rozdzwięk pomiędzy dwoma pokoleniami zaostrzył się. Dzieci spostrzegły całą poziomość gniazd rodzinnych. Bo jakież panują stosunki w średnio-zamożnej rodzinie mieszczańskiej?

Matka, póki młoda i ładna, bywa gospodynią na rautach, balach, kiermaszach. Ojciec, znajduje, że czyni zadość swym obowiązkom, pracując na byt rodziny i że ma prawo chwili od pracy wolne trawić przy wincie, bilardzie lub na czytaniu gazet w cukierni. A dzieci? — Mają, co im potrzeba. Tak, mają pocerowane pończochy, bonę cudzoziemkę, która w parkach flirtuje ze swymi wielbicielami, mają kajety, podręczniki szkolne i opłacone wpisy — nie po za tem. Wymiana myśli pomiędzy dwoma pokoleniami odbywa się zwykle przy obiedzie, rodzice mówią o swoich

kłopotach i znajomych, dzieci o koleżankach i kolegach, rozmowa zniwelowana do najniższego poziomu. Jeżeli kiedy w ucho dzieci wpadną jakie *zasady*, to tylko utylitarne: każą im się uczyć, bo z tego chleb jeść będą. Tamowane są wszelkie szlachetniejsze porywy.

Matki, żyjące w czasach powstania, synów swych nie wstrzymywały od ofiar dla ojczyzny; za punkt honoru miały sobie nie kruszyć stali szlachetnych postanowień, nie łamać skrzydeł zapału.

A dzisiaj? a wczoraj? Za czasów Apuchtinowskich, syn, wychodząc z domu słyszał jedno: „Mój drogi, tylko ty się tam w awantury nie wdawaj. My nie mamy na to. Musisz skończyć szkoły, uniwersytet. Trzymaj się zdala od tamtych „waryatów.“ — Co to porywać się z motyką na słońce.“

I oto wybuchł strejk szkolny. Miejski lud roboczy, krwawą pracą zapewniający naukę swym synom, nie powstrzymywał ich — w imię karyery. Nie czyniono tego zresztą, jawnie i otwarcie w wyższych warstwach mieszczańskich, wśród tak zwanej inteligencji — hasło było zbyt popularne, aby mu się opierać. Trzeba było odwagi cywilnej, a to jest towar, o który najtrudniej w przeciętnym domu mieszczańskim. Rodzice umilkli, stehórzyli. Nie śmieli głośno powstrzymywać swych synów od kroku, który uważali w głębi duszy za nierozsądny.

Motywym, skłaniającym ich do ustępstw, był wzgląd na to, że chłopak — narazi się na przesładowania kolegów. Nigdzie szczerego, rozumnego przekonania. Co krok jakieś względy i względziki. Rząd nie dał jednak szkoły polskiej, szkoła prywatna za droga na przeciętną kieszeń, a tymczasem chłopak rośnie, wałęsa się po cukierniach z kokotami. Trzeba z nim coś zrobić. Niema innej rady, jak wysłać go na zdawanie egzaminów do — któregośkolwiek miasta w Cesarstwie. Więc dalejże zabiegać, używać stosunków, wpływów, a wszystko pokryjomu, aby chłopcu nie zaszkodzić w opinii kolegów. Jednocześnie trafia mu się do przekonania, namawia, aby złamał solidarność — skrycie. Pomaga mu się do uczynienia tego — bezkarnie.

Wszędzie tchórzostwo, oportunizm, utylitarizm, brak poczuc szlachetnych. I to sprawiło, że całe brzemie ofiar, złożonych na ołtarzu strejku szkolnego, obciążało tych, którzy najmniej poświęcić mogli. Inni urządzili się w ten sposób, że i wilk został syty, i owca cała. Odegrali pompatycznie rolę bohaterów i nie narazili swej karyery.

Czy rodzice, tak postępujący, mogą mieć wpływ na młodzież? Czy mogą się dziwić, że ten wpływ, który oni wypuszczają z ręki, podejmują wychowawcy; czy mają prawo cisnąć gromy za to, że ci rozmaitemi hasłami bałamucą młodzież, że ją wciągają do polityki? Czemuż oni sami, rodzice, oderwawszy się od winta i kiermaszów, nie oddziaływują na serca i umysły swych dzieci? Czemu, w okresie, gdy język polski wyrugowany był ze szkoły, *chłopcy* nie umieli porządnie pisać, nie znali historii, literatury? Słyszeliśmy z ust p. Śniegockiej, jak mimo „sztrafów“ i wszelakich kar porządku administracyjnego, jak pomimo ciężkiej odpowiedzialności i groźby, uczyły się dzieci ubogie, pozbawione szkoły.

Czy jest jaki szpieg, jaki żandarm, któryby zdołał przeszkodzić matce, w czterech ścianach mieszkania, uczyć swe dziecko szanować i kochać chlubną przeszłość swego narodu, kształcić się na wzorach jego literatury.

A z drugiej strony: kto przeszkadzał matkom przygotowywać swe córki do zawodu macierzyńskiego: kto winien, że to zadanie podejmuje dziś profesor na pensjach; że czterdzieści dziewcząt dowiaduje się gremialnie, w godzinach ustanowionych z góry, o tem, co na każde, poszczególne usposobienie i zapatrywanie może oddziaływać inaczej. Kto winien, że dorastające dziewczęta do nauki — embryologii przygotowywane były dotychczas przez koleżanki i służki?

W szkołach i na pensjach prowadzone są propagandy, zamiast wykładów. Tak skarżą się rodzice.

A jak przeciwdziałają temu? Załamywanie rąk, ubolewaniem. Wszystko, co się dzieje, zastaje ich nieprzygotowanymi. W chwili tak ważnej, w chwili zrywania się ducha, przywalonego kamieniem ucisku, wzlotu myśli po nad strychulec cenzury, nasze dzieci garną się ku tym, którzy im wskazują jakiś ideał, jakiś cel wyższy i odbiegają jeszcze dalej od domu, w którym słyszeli tylko o ideale... wysokich stanowisk, grubych zarobków, gdzie ich kierowano na zwyczajnych zjadaczy chleba. Ten duch buntu przeciw rodzicom, tak nam wszystkim bolesny, będący takim czynnikiem rozkładowym, ta przepaść, dzieląca dwa pokolenia — to objaw poniekąd dodatni, bo świadczy, że zasady utylitarne, anti-obywatelskie nie zaszczyliły się w duszy dzieci.

Czas najwyższy, aby rodzice wniknęli w przyczynę tego, co się dzieje i znaleźli ją po części w sobie; aby to „bankructwo“ skłoniło ich do zrobienia obrachunku z własną duszą, aby zrozumieli, że ani słowami, ani przykładem nie wskazywali swym dzieciom dążeń górnych, że nawet brak wiary młodego pokolenia, to ich wina: bo czyż dzieci widziały w domu inne objawy wiary, oprócz praktyk religijnych, spełnianych przez matki w niedziele, a przez ojców nie zawsze nawet raz w rok około Wielkiejnocy? Czy widziały objawy ducha chrześcijańskiego; czy raczej nie spotykały się co krok z objawami niepożądanością dla ludzi, w postaci ostrych sądów, plotek?

Jeżeli rodzice pragną odzyskać wpływ i władzę, niech oderwą się duchem od tych nizin, do których przykuwa ich t. zw. zmysł praktyczny, bardzo niepraktyczny w skutkach, bo na szczęście nie osiagający zamierzonego celu.

Ale punkt ciężkości naszych nadziei spoczywa w rosnącym dziś pokoleniu. Ono będzie już wzrastać wśród swobody, rozwojowi jego umysłu i ducha przewodniczyć będą ideały górne. My, starsi, z głębi serca życzyć tylko możemy młodym, aby gdy oni z kolei „starszymi“ się staną, rozdźwięk pomiędzy nimi a pokoleniem, strącającym ich na plan dalszy, nie był zgrzytem, jak jest dzisiaj.



MARYAN GAWALEWICZ.

## BEZ CELU.

### POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Gwóźdź stanął w pośrodku pokoju i rozglądał się.

— Nie mieszkacie sami? — spytał.

— Mieszkam z siostrą.

— To widać; znać kobiecą rękę.

Przystąpił do etażerki, na której leżały poukładane książki i numery pism we wzorowym porządku, przeczytał kilka tytułów, wreszcie odłożył kapelusz i laskę, przegarnął włosy i usiadł w fotelu.

— Czy mogę z wami pomówić otwarcie? — przemówił po chwili.

— Najzupełniej.

— Mało się znamy, ale po jednej rozmowie nabrałem do was zaufania, tem bardziej, że jak mi powiadano — w partyi należycie do najgorliwszych, chociaż trzymacie się podobno więcej prawego krańca.

Pochylił głowę i przez pewien czas przypatrywał się końcom swoich butów, rozmyślając nad czemś głęboko ze zmarszczonem czołem, a potem westchnął i rzekł:

— Podjąłem się rozmówić z wami w rzeczy ważnej; wczoraj zaszły wypadki, o których może jeszcze nie wiecie, ale które przybliżyły grożącą nam katastrofę. Lada chwila większa część komitetu centralnego może wpaść w łapy policji.

Sokolik zaczął słuchać z rosnącym zajęciem.

— Jakim sposobem? — spytał żywo, zaniepokojony.

— Skutkiem bardzo drobiazgowo i sprytnie przeprowadzonego śledztwa w sprawie Chronieckich, powykrywano szczegóły, kompromitujące wielu naszych najwybitniejszych towarzyszy; oprócz tego istnieje prawie pewność, że jeden z uwięzionych członków organizacyi bojowej haniebnie stehórzył i wyśpiewał za dużo przy badaniu. Za długo byłoby opowiadać wam wszystko; dość na tem, że Marajew zebrał materyał, na podstawie którego może capnąć nas za samą głowę, a capnie niewątpliwie. Czasu nie mamy do stracenia ani chwili!... Narażeni są Romeccy najwięcej, oraz ci, którzy się u nich zbierali. Na liście proskrypcyjnej jesteśmy prawie wszyscy. Zettelmana i Kalkickiego wyprawimy dzisiaj nocy z Warszawy; muszą uciekać jak najprędzej zagranicę. Łańskiego poszukiwano już dzisiaj od samego rana.

Usłyszawszy to, Edmund pobladł i zadrżał.

— Zeusa także?...

Z przerażeniem podniósł oczy na Gwóźdź i uczuł, jak mu serce w przyspieszonym tempie tłuc się zaczęło.

Gwóźdź spokojny i zimny na pozór przytwierdził skinieniem głowy.

— To było do przewidzenia — rzekł głuch; — jakkolwiek bezpośrednio w danej sprawie nie brał żadnego udziału, ale zamieszany został wraz z innymi. Mieli go

już ostrzedz, aby się zgubił na czas jakiś, jednak dotąd nie wrócił podobno z Dąbrowy górniczej; może go się uda zatrzymać gdzie w drodze.

Sokolik schwycił się za głowę.

— Ależ to byłoby nieszczęście!

Zerwał się z miejsca i zaczął szybko chodzić po pokoju dużymi krokami.

Zaniepokojony o los swego mistrza i przewodnika, zapomniał w tej chwili o sobie, o wszystkich innych, o niebezpieczeństwie grożącym całej partyi.

— Tak, toby było nieszczęście — powtórzył powoli Gwóźdz, — lecz nie ze względu na dane osobistości, bo ludzie nowi się wyrobują, na opróżnionych placówkach staną nowozaciężni ofiarnicy. Nieszczęście grozi sprawie naszej, a to ważniejsze!... Wyłapią jednych, powstaną drudzy, — ludzi nie braknie; my wszyscy jesteśmy tylko plewą, którą wiatr roznieśnie, wszyscy jesteśmy skazańcami losu i musimy być przygotowani nawet na stryczek. Trudno!... Ale to gorsza, że plon nasz się marnuje, że trzeba zasiewać na nowo, uprawiać grunt, mozolić się i zaczynać od początku. Strata czasu, to zguba!... Wiecie przecie: „Często chwila jest liczbą, reszta życia zerem...“ Stanęliśmy dzisiaj na takim punkcie, że zawrócić z niego byłoby kłęką.

— Okropność, okropność!... — biadał Lebicki, którego nagle opadły jak najczarniejsze myśli i najsmutniejsze przeczucia. — Cóż teraz zrobić, co zrobić?...

Gwóźdz poprawił się w fotelu i mówił dalej ze spokojem człowieka wytrawnego, który nie łatwo pozwala się wytrącić z równowagi:

— Przedewszystkiem trzeba za jakąkolwiek cenę unicestwić rezultaty dotychczasowego śledztwa i poplątać, pozrywać wszystkie nici tego kłębka, które Marajew trzyma w swoich łapach.

— Ale jakim sposobem?

— Plan jest gotowy; ułożyliśmy go na przędcę, lecz szczegółowo. Powiem wam, tylko słuchajcie uważnie!

Lebicki przysiadł się znowu do niego.

— Oto codziennie przed godziną jedenastą w południe — zaczął Gwóźdz, — Marajew ze swoim adjutantem wyjeżdża do roboty; udając się do Cytadeli, zabiera ze sobą tekę, w której mieszczą się najważniejsze akta, protokoły i referaty. Jutro ta teka będzie zawierała samą esencję sprawy, którą wycisnął do tej pory pod tłokiem komisji śledczej. Chodzi o to, aby tę tekę zniszczyć bez śladu!...

— Tak, to łatwo powiedzieć: zniszczyć! — przerwał mu Sokolik, — ale jak?

Gwóźdz zniżył głos i jakby mówił o rzeczy dawno przesądzonej, a nawet dokonanej, rzekł:

— W sposób bardzo prosty, razem z nim, nawet z jego adjutantem, nawet z całą dożynką... rozumiecie?

Edmund cofnął się i niepewnym głosem spytał szeptem:

— Zamach?...

Pomimo przygotowania od dawna na tę ewentualność, zadrżał i zmieształ się; to postanowienie partyi zaskoczyło go tak nagle,

skutkiem ostatnich wypadków, że się niemal przeraził.

— Więc zamach? — powtórzył, zacinając usta.

Gwóźdz głową skinął w milczeniu, a po chwili dodał:

— To się stać musi!

— Musi, powiadacie?...

— Tak, musi; wyrok zapadł.

Sięgnął ręką do kieszeni swej szerokiej okrywki i wyjął z niej jakiś błyszczący przedmiot, który wając na dłoni, pokazywał Lebickiemu.

Było to na pozór pudełko blaszane, okrągłe, trochę splaszczone, wielkości małego melonu, połyskujące w słonecznym blasku, który wlewał się przez okno do pokoju i snopem promieni rozbijał się o polerowaną powierzchnię pudełka.

Gwóźdz wpatrywał się z jakimś wyrazem lubości w ten świecący przedmiot i po chwili spytał:

— Czy wiecie, co to jest?

— Domyślam się, bomba! — szepnął, pochylając się instynktownie ku wyciągniętej ręce towarzysza.

Ten zaś z miną Hamleta, trzymającego na cmentarzu czaszkę biednego Yorika, mówił powolnym, melancholijnym głosem:

— Oto jest broń nasza, siła nasza, nasz grom!... oto spętana potęga, którą walczymy, jak tytany!... oto nasz sprzymierzeniec niezawodny!... nasz kat i nasz mściciel!

Przymknął oczy i zdawał się marzyć.

Sokolik z ciekawością, ale i z tajoną grozą przyglądał się tajemniczej blaszance, której widok budził w nim jakieś dziwne, nieokreślone uczucia; pociągało go coś i jakby przez instynkt zachowawczy zarazem powstrzymywało od dotknięcia tej świecącej bryłki metalu, o której nasłuchiwał się tyle, ale którą po raz pierwszy miał sposobność oglądać na własne oczy.

— Więc to naprawdę jest bomba? — spytał z jakimś naiwnym odcieniem zaciekawienia; — taka bomba już gotowa, naładowana do wybuchu?...

Gwóźdz otworzył nagle oczy szeroko i jak zbudzony ze snu odrzekł:

— A cóż myślicie?... tak, to jest bomba, tylko nowego systemu, według mego własnego pomysłu.

— Wy się znacie na tem?

— Byłem na wydziale technologicznym w Zurychu; chemia, to moja specjalność przecie.

— I toście wy sami zrobili?

— Do spółki z pewnym ślusarzem, który miał odpowiednie narzędzia.

Sokolik spojrział na niego z podziwem i szacunkiem; zaimponował mu swoim Katońskim spokojem i śmiałością.

— Oto człowiek czynu! — pomyślał, — człowiek prawdziwie użyteczny!

— Wyciągnął rękę, jak chłopak, któremu zaiskrzyły się oczy na widok strzelby myśliwskiej i przyszła wielka ochota złożyć się przynajmniej do strzału po raz pierwszy w życiu.

— Pozwólcie, niech obejrzę!...

Gwóźdz podał mu obojętnym ruchem niepozorny pocisk, który jak puszka Pandory,

ukrywał w sobie klęskę i zniszczenie, mówiąc:

— Tylko uważajcie, aby się wam nie wyliznęła z palców, bo wylecielibyśmy pod niebo, jak garść mierzwy, wyrzucona w powietrze. Siła wybuchu tej mieszaniny jest kolosalna; robiłem nad nią doświadczenia od pół roku, ale teraz jestem pewny skutku.

Lebicki się aż zarumienił; trzymał w rękę tę straszna, potężna, przerażającą osobliwość, której przeznaczeniem było szerzyć spustoszenie i śmierć okrutną, a która nosiła pozór niewinnej zabawki dziecięcej.

Czuł, że mu palce zaczynają drgać nerwowo, jak gdyby ta metalowa piłka ożyła w nich i chciała sama wyskoczyć z jego rąk, bo jej pilno było do piekielnej psoty.

Położył bombę ostrożnie na stole i z zapartym oddechem patrzył, nie mogąc od niej oczu oderwać.

Dopiero po długiej chwili odezwał się pierwszy:

— Zatem zamach na Marajewa postanowiony nieodwołalnie?... jutro?

Gwóźdz siedział z głową zwieszoną na piersi, z rękoma skrzyżowanymi, z twarzą bardzo bladą i ledwie poruszeniem ust odpowiedział:

— Jutro.

— A któż go ma wykonać?... wolno wiedzieć?

— Ja.

— Wy?

— Tak.

Nastąpiła chwila długiego, głuchego milczenia, które Gwóźdz przerwał tym samym bezdźwięcznym głosem, nie zmieniając pozycji:

— I właśnie dlatego przyszedłem do was, bo potrzebną mi jest pomoc człowieka zdecydowanego i oddanego naszej sprawie na śmierć i życie. Jeśli się nie zawachacie, spełnimy we dwóch czyn wielki i godny celów, którym służymy. Ludzie to nazywają bohaterstwem!

Skrzywił lekceważąco usta i dodał:

— Jak gdyby to była tak wielka rzecz umrzeć!... Śmieszny przesąd. Zresztą, przy moim planie i ta ewentualność nie jest konieczną, jeżeli wszystko się uda tak, jak obmyśliłem. Jeżeli odpowiecie mi kategorycznie: zgoda!.. wtajemniczę was we wszystkie szczegóły naszej misji, co was przekona, że działam stanowczo, ale przezornie. Jeżeli braknie wam odwagi, upewniam was, że nie wezmę za złe tej kropli burżuazyjnej krwi, która może przez atawizm krążyć w waszych żyłach. Namyślcie się zatem, Sokoliku, bo nie mamy czasu do stracenia!...

Lebickiemu wszystka krew uderzyła do głowy; policzki splonęły mu żywym rumieńcem, powieki łypały nerwowo, jak skrzydła ómy.

Tak obcesowe, niespodziane pytanie Gwóździa, zmieszało go w pierwszej chwili prawie do utraty przytomności; rozproszonych myśli nie mógł sam skupić i nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

Łos wystawił go na okrutną, stanowczą próbę, doświadczając jego odwagi, dawał mu sposobność do „czynu,“ którego tak pragnął w swoich śmiałych, zapalnych marze-

niach młodzieńczych; wzywał go do spełnienia jednego z najcięższych i najtrudniejszych obowiązków, które dobrowolnie sobie narzucił; otwierał przed nim drogę do bohaterstwa, którego innym zazdrościł!...

I oto należało się zdecydować w jednej chwili, złożyć dowód bezwzględnej gotowości i poświęcenia, przypieczętować czynem wyznanie głoszonych haseł, stanąć śmiało, odważnie, bez lęku i trwogi wobec ryzykownego zadania, albo cofnąć się i... stehórzyć, znieślić w oczach tego bladego, zimnego jak stał, zrezygnowanego na wszystko „towarzysza.“ który mu własnym przykładem wskazywał drogę do celu i nie zawahał się narażać własnego życia, gdy chodziło o stwierdzenie szczerości swych uczuć i dążeń.

Miał popełnić mord,—mord polityczny wprawdzie, ale mord straszny, okrutny, który jego czystą, młodzieńczą naturę dreszczem grozy przejmował.

Przedstawiono mu to, jako konieczność, jako jedyny środek cealenia partii i jej celów, uratowania „sprawy.“

Spojrzał na Gwoźdźcia i zobaczył jego zimne, stalowe oczy Sfinksa, zwrócone badawczo ku niemu, a w tych oczach była jakaś demoniczna siła, której oprzeć się nie miał mocy i odwagi.

Te oczy hypnotyzowały go i rzucały urok na całą jego istotę.

Jak nieprzytomny, pogrążony w sen magnetyczny szczepił swój wzrok z jego wzrokiem i głosem dziwnym, martwym wyrzekł tylko ten jeden wyraz:

— Zgoda.

Po twarzy Gwoźdźcia przemknął krótki błysk jakby tryumfu; wyciągnął powoli rękę ku Edmundowi i powiedział:

— Dziękuję wam!... spodziewałem się tego.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## O zmroku.



W przyjaznym upominku — Lusi.

Nad lasu pierścieniem, w lazurów topieli  
Śnieżystych chmur wstęga migoce;  
Niekiedy lodowiec, jak orzeł wystrzeli,  
Srebrnymi skrzydłami trzepoce.

Rozpruwa, roziskrza głębinę przezroczy,  
Jak gromu iglica wygięta,  
I znika rozwiany, tęsknotą uroczy,  
Jak lubej wysnzione oczęta.

W przestrzeni coś dźwięczy... jak harfa eolska,  
A słońce zagasło w błękicie:  
O droga naturo!... O cudna wsi polska,  
Tak kocham cię, kocham — nad życie!...

Kir cienia i smutku na niebie rozpięty —  
Wnet nocy modlitwa popłynie...

A pacierz dziękczynny w wszechświecie po-  
[częty,  
Dośpiewa symfonia w „Wskrzesieniu!..“

W półtonach szafiru, omglonych drzew grzywy,  
Zawodzą jęklonie a słodko —

Ach!... chciałbym usłyszeć twój głosik pieści-  
[wy,

O wdzięczna, o miła pieszczotko!...

Jan Strauss.

22-go Września 1907-go r.



## Co się dzieje?



Coraz to ludniej, coraz gwarniej w Warszawie, powracają z letnisk, wycieczek i podróży ci wszyscy, którzy są kożuszkami na mleku warszawskiej ludności.

Kożuszek ten ma dwie odrębne warstwy, które nazwaćby można intelektualną i estetyczną.

Pierwsza z nich, to grupa umysłowych pracowników, która w skutek dzisiejszej intensywności prac mózgowych nie poddałaby swoim skomplikowanym zadaniom, gdyby je pełniła bez peryodycznych przerw, rozprężających corocznie zbyt wyęczone siły duchowe, kojących wciąż przedrażnione nerwy.

Ci przerwali swe prace po to głównie, aby nabrać sprawności dla dalszej pracy, aby mózgi powrócić do niej ze zdwojoną energią. Ci czują, co na barkach niosą — i chcą nieść. jak przystoi.

Na ich barkach leży dziś to samo, co leżało ongi na herbowych tarczach rycerzy i statystów. Pracownicy umysłowi są dziś u nas podpieraczami stropów ojczyznanego domu, tak jak pracownicy fizyczni są jego węgielną podwaliną. Pierwszych i drugich zespolone wysiłki tworzą cud życia w rozdziartowanym ciele narodowym, bo praca — to dziś motor naszej egzystencji, to racja naszego bytu w rządzie ludów cywilizowanych, to dokument naszej uiespożytości i argument do uzyskania praw, żywym narodom przynależących.

A druga warstwa miejscowego kożuszka na mleku, także na letnie miesiące z miasta emigrująca, — to ten świat, który się bawi, więc potrzebuje zmieniać teren i rodzaj rozrywek, dlatego, aby podniecić przytępioną wrażliwość na rozkosze swojego bytu, aby napić się nektaru użycia z inaczej cyzelowanej czarzy, aby zakląć groźne widmo nudy, lęgnącej się z przesytności.

Pasożyty społeczne... trutnie w ulach naszej pasieki... I po co one są właściwie?

W obecnej dobie tej natężonej, powszechnej pracowitości, będącej u nas zwłaszcza obowiązkiem nie tylko ekonomicznym, lecz obywatelskim, czyż to nie rażąca anomalia, takie osobniki, które konsumują — nie produkując? czyż to nie żyjący paradoks społeczny?

Wobec ogólnoludzkiej likwidacji warunków i stosunków współczesnego świata kultu-

ralnego wszystko musi być czemś, każdy jest kimś, nie ginie i żadna siła nie marnieje; więc kimże i czemże są dziś tacy? jaka ich rola bytowa i zadanie społeczne? jakim oni kółkiem w mechanizmie zgrupowań międzyludzkich?

Nie łatwo sformułować odpowiedź na to pytanie, gdyż co innego zdaje się *im*, co innego zdaje się *nam*, a co innego *jest* w istocie.

Im się dotąd zdaje, że stany i klasy są teraz jeszcze podstawą ustrojów społecznych. Oni są szczerze przekonani, że akt rodzenia bywa wulgarny lub dystygowany i sam przez się kwalifikuje noworodka do wysokich lub niskich przeznaczeń. Zaś stanowisko z klasowością podaje sobie ręce, gdy osobnik, choćby całkiem brzydki urodzony, należy, dzięki swemu stanowi posiadania do gatunku *homo* pierwszej klasy.

I nie to nie znaczy, że feudalny zabytek — stanowisko — odegrał swoją partyturę w koncercie dziejowym, zniknął już z kodeksów wszystkich państw cywilizowanych; nie znaczy, że jej następczyni — klasowość — coraz bardziej zanika jako tytuł wyższości, wobec codziennie silnie napierającego na stosunki społeczne równouprawnienia pracy z kapitałem, pomimo to potomkowie feudałów i posiadacze kapitałów ujawniły się pod ręką szepcą sobie do ucha bajkę o swojej pierwszorzędności społecznej, z przedziwną dobrą wiarą opierając jej rację bytu — ci na zwierzęcej tradycji, tamci na kaprysie fortuny. I podczas gdy dziś wszystko, co nie wnosi pracy i zasługi do ogólnej skarbnicy, zajmuje pozycję pod numerem *zero* w budżecie społeczeństwa, oni wierzą święcie w pożyteczność samego tylko faktu swojej egzystencji — i szczerze im się zdaje, że mocą tego faktu wolno jest nie dając nic, brać wszystko, co się podoba.

Tak zdaje się *im*. A *nam* się znów zdaje, że oni są nie tylko bezużyteczni, ale i szkodziwi; że są nie tylko pasorzytem, ale złośliwą naroślą, którąby wyciąć i wypalić należało; że wszystko, co nie jest plusem — jest minusem, a minus zawsze oznacza jakąś stratę i czyjąś krzywdę.

A gdy przy jakim bliższym zetknięciu, ich pycha naszą próżność rozdrapie i przypieczętuje, gdy widok ich używania wywabi nam z utajonej skrytki serca żółtą zawiesz, zgrzytającą najbardziej na to, cobyśmy sami robić chcieli — a nie możemy, wtedy budzi się w nas przekonanie, że krowa holenderska i chłopskie bydłko są identycznie tej samej rasy; i poczynamy szczerze wierzyć, jako tytuł jest niegodziwością, a większa własność łupieżstwem.

Tak tedy zdaje się *im* i *nam*. A pomiędzy temi dwoma przesądami kędyż jest środek istotności?

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, na spostrzegawczej bezstronności opartego, z istotą rzeczy ma się tak mianowicie:

W życiu społecznym — jak na estradzie: na przedzie sceny stoją aktorowie, a głąb zajmują dekoracje.

W starożytności dekoracją powszechną byli niewolnicy domowi. Snuło się ich wciąż mnóstwo po podwórcach i perystylach, otaczało

pana i gościa, pełniło najniebezpieczniejsze funkcje. Ci byli od chwiania pióropuszcami, tamci od dmuchania w kadzielniki, owi od stania pod kolumnadą, a to wszystko dlatego, aby było pańsko, pysznie, wspaniale.

Wśród średniowiecza dekoracyjność publiczności polegała na paradach monarszych i obrzędowości kościelnej. Wjazdy i hołdy, procesje i auto-da-fé, wieńczenia i święcenia, zadawały estetyczne wymogi epoki, były efektowne, wstrząsające, ciekawe lub zabawne.

Obecnie dekoracją na scenie współczesności są dobrowolne popisy luksem i szykiem, którymi na spacerach, w teatrach i w przeróżnych miejscach publicznych zbiorowisk olśniewają oczy tych, którzy nie mają na to, ci, którzy na to mają.

Aby olśniewać dzisiejszą publiczność, nie dość grubych efektów przepychu, lecz trzeba umieć swoje występy utrzymywać w wysokim tonie i wielkim stylu, trzeba bawić oczy rzeczywiście wykwiśniętym gustem w manierach toaletach, ekwipażach i t. p.

To też nie potrafi tego każdy kto zechce, lecz tylko tacy, którzy wychowali się, wzrosli i żyją w pośród kultu i ciągłej praktyki tego wytwornego ozdobnictwa, zastosowanego do wyglądu, obejścia się, powierzchowności, wysłowiania, otoczenia, bawienia się, używania, nawet smucenia się, cierpienia i umiarności, które jest sztuką, kodeksem i pół-religią ludzi z tak zwanego wielkiego świata. Tylko ci *select* i *correct* mają petroniuszowe upodobania i nawyki — i tylko oni są autentyczni *arbitri elegantiarum*.

I to jest ich dzisiejsza rola w społeczeństwie.

Ładna mała rolka, podrzędna wprawdzie, ale przydatna dla zaokrąglenia całości charakteru danej epoki. I gdyby nie owo przeszacowywanie swojej wartości, które do nich ogół zniechęca, byłiby z pewnością cenionymi za tę użyteczność w danym zakresie; bo dawanie poglądowych lekcji oglądy, elegancji i w ogóle zewnętrznej kultury, ma przecież swoje znaczenie w historii rozwoju estetyzmu u ludów cywilizowanych.

Od niedawnego czasu, wśród miejscowej petroniuszowskiej sfery towarzyskiej, przejawiać się nawet daje pewna, wcale jeszcze nieświadomiona, dążność do grania swojej estetycznej roli na większą skalę i na specjalnej widowni. Do niedawna jeszcze popisy szyku i elegancji miały miejsce na arenie czy sto prywatnej, nie wychodząc po za salony dla uciechy gapiów; „se donner en spectacle à la fonle,” było uważane jako „du dernier mauvais goût.” A dziś miewamy już publiczne występy amatorskie naszych arbitrow ele-ganciarów, którzy pod dystyngowaną egidą sportmeństwa produkują się nawet w cyrkach i parkach, nawet za opłaconym wstępem — rozumie się na cel filantropijny.

I gapią się rozkosznie ciekawi burzuje na potomków rycerzy i statystów, występujących bezwiednie w roli pedagogów estetyki popularnej, a potem imitują jak mogą maniere tego, obejście tamtej, „szyk” i „sznyt” wszystkich razem. Pomimo to jednakże gorszą się też zwykle i zżymają, a doprawdy niema czego; bo gdy od złego dłużnika bierze się plewy i łyka, to od niewypłacalnych zjadaczy chle-

ba... z kawiozem, trzeba brać chociaż to jedno, co społeczeństwu swemu dawać mogą i umieją,

Każdy chyba zrozumie, że mowa tu nie o danej sferze w jej całości, lecz jedynie o tej grupie jej członków, o której powiedziało się powyżej, że żyją tylko dla użycia, i nie produkując — konsumując. Każdy łatwo zrozumie, że te, dość wprawdzie rzadkie osobniki ze sfer omawianych, które pomimo możliwości próżnowania i używania są pożytecznie czynnymi i społecznie ofiarnymi, nie tylko wyłączają się z owej kategorii nieużytków, zdalnych jedynie na ornamentykę naszego domu, lecz stoją owszem w rzędzie najgodniejszych szacunku i uznania, wyżej, niżeli ci, którzy pracując dla ogółu nie wiele tracą i poświęcają.

Powracamy jeszcze na chwilę do poruszonego tematu, aby nadmienić, że już starzy arcy mistrze estetycznej kultury, Ateńczycy, uważali, jako potrzebne do ozdobności swego miasta, nietylko piękne gmachy, posągi, i w ogóle dzieła sztuki, ale także i żywe piękno, przejawiające się w ruchu, wyrazie i wdzięku ludzkiej postaci. Aby zaś król-lud miał możność paść oczy dowoli tem pięknem, był zwyczaj w epoce ateńskiego rozkwitu, że osobniki kształtnie zbudowane, a nie posiadające określonego zajęcia, były przez skarb publiczny wynajmowanymi do przechadzania się nago w miejscach publicznych. Funkcje takich obywateli polegały na tem, aby w artystycznych pozach stawać na stopniach Propylejów, albo wdzięcznie kłaść się u wrót Partenonu, albo na Pnyksie spacerować z bogom podobną dezymwolturą. Lud uważał ich jakby za pewien rodzaj artystów i nie kwestyonował wydatku, jaki skarb ponosił na ich utrzymanie, opłacając im te adamowe występy.

Nasze społeczeństwo ponosi także koszty utrzymania [swoich żywych dekoracji, nie bezpośrednio wprawdzie, ale w sposób bierny: bowiem każda społeczność, która się nie sprzeciwia pewnym formom otrzymywania i posiadania dóbr przez swoich członków, tem samem obdarza ich pewną częścią powszechnego mienia.

W konsekwencji tego pojęcia poczęło się od niedłwa naszemu społeczeństwu nasuwać pytanie, czy też ono tych swoich bogom podobnych nie opłaca zbyt drogo?

Odpowiedź na to pytanie wyraziła się twierdząco — boć i najsławniejsi artyści krocio wych benefisów nie miewają — i oto stanęła przed sądem opinii powszechnej owa paląca kwestya aktualna, złączona ze sprawą agrarną i dylematem kapitalizmu, a mianowicie:

Jak zaradzić temu, aby podział dóbr nie był tak anormalnie ustosunkowany, że gdy jednym zbywa, — drugim niedostaje? że wciąż ocierają się o siebie szalony zbytek i staszliwa nędza, a pierwszy jest niewzbronionym, druga niezapobieżoną? Jak zrobić, aby stan posiadania był odpowiednim do elementarnych potrzeb każdego bez wyjątku członka danego społeczeństwa, a suma posiadania aby się zwiększała tylko proporcjonalnie do wielkości i użyteczności pracy każdego osobnika?

Rozumie dziś każdy rzeczywiście kulturalny człowiek, że zreformowanie dotychczasowych

umów społecznych, w sensie powyższych za-pytań, byłoby jedynie racjonalnem i sprawiedliwym, ale, niestety, metoda tej reformy nie jest dotąd jeszcze skryształizowaną, chociaż ile głów myślących, tyle projektów na ten temat, nie mówiąc już o systemach słynnych socyologów, zazwyczaj teoretycznie genialnych — ale praktycznie niewykonalnych.

I w trzeciej Dumie kwestya ta przyjdzie, naturalnie, pod dyskusję. Wypowie się i zerze ze sobą zdań i przekonań wiele, a z tej mnogości pomysłów może nakoniec wytrawi się, wyklaruje i ułoży jakaś możliwa kombinacya nowych stosunków ekonomiczno-spo-lecznych.

Wiadomo, jak ważnym czynnikiem w takich razach są głosy opinii ogółu. W nich to tkwią wskazania, co jest danej epoki chorobą — potrzebą — pożądanym; — tylko dzięki im zmieniają się kodeksy i konstytucje i nie desiderata socyologów spowodują radykalne zmiany, lecz ów *vox populi*, który w rzeczywistości jest dziś jedynie samowładnym.

— A któż to jest właściwie ten *vox populi*?

— *Vox populi* — to my. My wszyscy bez wyjątku, — bo każdy jest urabiaczem opinii powszechnej. A więc i kobiety, chociaż nie zdobyły dotąd jeszcze piątego przymiotnika w ordynacyi wyborczej, mają równe prawo głosu na tej drodze i opinię swą słowem ży-wem i pisanem wyrażać mogą.

Niechże się w danej kwestyi wypowiedzą!

Proponuję naszym Czytelniczkom, aby — nie mogąc dać głosu swego na zamkniętych dla nich nie tylko obradach parlamentarnych, ale nawet zebraniach przedwyborczych, podniosły go w parlamencie opinii publicznej i sformu-łowały swoje zdanie, w zakresie odpowiedzi na zapytania następującego kwestyonariusza:

*Jak zaradzić zbyt nierówności podziału dóbr pomiędzy ludźmi?*

1. Co byłoby sprawiedliwym i skutecznem: czy przymusowe wywłaszczenie, czy ograniczenie prawa posiadania, czy wzbronienie przekazywania dóbr dziedzicznie, czy jaki jeszcze inny projekt?

2. W jaki sposób, w jakim czasie i jakimi środkami przeprowadzić proponowane przez projektodawczynię reformę?

Ciekawy rezultat kobiecej myśli społecznej.

J. Terpiło.



W setną rocznicę urodzin bohatera.

## Giuseppe Garibaldi.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA.



(Dokończenie).

ROZDZIAŁ VI-ty.

Bitwa pod Voltornem. — Bronzetti w Castel Morone. — Bitwa pod Caserta Vecchia dnia 2-go Października 1860-go roku.

Wschód słońca w dniu 1-ym Października 1860-go roku oświetlił płaszczyznę starożytnej stolicy Kampanii, na której miała się roze-

grać bratobójczą walką. Aczkolwiek, prawdę rzekłszy, w szeregach burbońskich znajdowało się wielu cudzoziemców, jak np. Bawarów, Szwajcarów i t. d., którzy od wieków poczytywali naszą Italię za swą letnią siedzibę, za swój lupanar, zniewalając Włochów brutalną siłą do chylenia karków i kolan przed sobą — na Tifota wszakże przeważną część walczących była dziećmi jednej ziemi.

Od Hannibala aż do naszych czasów w okolicach tych bezwarunkowo nie stoczono świątniejszego boju od tego, którzy się właśnie zapowiadał.

Kiedym powrócił z Palermo i codziennie zwiedzał panujące nad okolicą pozycje Sant' Antonio, z kądem roztaczał się widok na obóz nieprzyjacielski, leżący na wschód od Capui i na prawym brzegu Volturna, dostrzegłem, że Burbończycy przygotowywali się do bitwy zaczepnej. My zaś spiesznie podejmowaliśmy wszystkie przygotowania do obrony w Maddaloni i Sant' Angelo, szczególnie zaś w Santa Maria, jako miejscowości, znajdującej się na równinie i na otwartym polu.

Nasza linia bojowa była wadliwa i bardzo niekorzystna, ponieważ jej rozciągłość od Maddaloni do Santa Maria była nazbyt wielka.

Centrum nieprzyjaciela, stanowiące główną jego siłę, mieściło się w Capui i można było, wyszedłszy ze stanowisk, po zapadnięciu nocy, uderzyć na centrum wroga około trzeciej nad ranem, o parę mil od naszego lewego skrzydła i zgnieść je, wprzód, zanimby zdołały nadejść posiłki i rezerwy. Sant' Antonio, centrum naszej linii, stanowiło z natury silną pozycję, ale ja zapragnął ufortyfikować jeszcze bardziej, o ileby na to czasu starczyć mogło.

Maddaloni stanowiło bardzo ważną pozycję i było obsadzone przez dywizję Bixia, której zadaniem było za wszelką cenę powstrzymać i odeprzeć wroga, zmierzającego ku Neapolowi.

Santa Marya, jak już o tem wspominałem, było najsłabszą naszą pozycją, nie bacząc na okopy i baterie ziemne.

Około godziny trzeciej nad ranem, dnia 1-go Października, wyruszyłem koleją żelazną do Caserty, gdzie mieściła się moja główna kwatera, a o świcie, wraz z częścią mego sztabu, podążyłem do Santa Maria. Ztamąd powozem udałem się do Sant' Angelo i wówczas dosłyszałem od lewego naszego skrzydła liczne, dochodzące mię strzały. Generał Milbitz, dowodzący zgromadzonemi tam siłami, zbliżył się do mnie ze słowami: „Uderzają na nas w stronie San Tammara, zobacz, co się tam dzieje!“ I rzucił się, jak strzała, w tym kierunku. I ja również kazałem woźnicy pospieszyć w ową stronę.

Huk wystrzałów potęgował się coraz bardziej i powoli objął cały front Sant' Angela. Z niezmierną szybkością dosięgnąłem wreszcie drogi, prowadzącej na lewo od naszych pozycji pod Sant' Angelo i tu spotkał mię prawdziwy grad kul nieprzyjacielskich. Z koła spadł zabity woźnica, powóz w jednej chwili został cały podziurawiony, jak sito, ja zaś z moimi adjutantami musieliśmy wyskoczyć z powozu i dobywszy szable, torować sobie niemi drogę. Niebawem stanęliśmy między genueńczykami Motta i lombardczykami Simonetta, którzy z taką siłą natarli na wroga, że ten zmuszony był cofnąć się. Nie bacząc na niekorzystne dla nas pozycje i niedostateczną ilość wojska, szczęście, dotychczas sprzyjające Burbończykom, odwróciło się od nich około godziny trzeciej po południu, kiedy nam się zdawać począł, że nieprzyjaciel rozwinie sztandar zwycięstwa. Pod Santa Marya młodzież medyolańska z takim impetem rzuciła się na wroga, że nie mogąc, pomimo przeważającej siły odeprzeć natarcia, jął się cofać; to spotęgowało zapal innych oddziałów i wnet nieprzyjaciel począł na całej linii ustępować w stronę Capui. Wówczas

i generał Bixio dał mi jednocześnie znać o zwycięstwie, odniesionem nad Burbończykami. Wtedy już śmiało mogłem telegrafować do Neapolu: „Zwycięstwo na całej linii!“ Nie da się zaprzeczyć, że bitwa nad Voltur-nem była regularną bitwą, aczkolwiek nasza linia bojowa była, jak to już nadmieniałem, bardzo niekorzystna.

Gdyby generałowie burbońscy byli na nas natarli jednocześnie na wszystkich punktach: w Maddaloni, Castel Morone, Sant' Angelo, Santa Maria, San Tammaro i San Lucio — zostalibyśmy niewątpliwie rozbici na miazgę i to bez możności ponownego stawienia oporu nieprzyjacielowi.

Zwycięstwo nasze zawdzięczaliśmy dwu przyczynom: zapalowi naszych dzielnych żołnierzy i mojemu sposobowi uderzenia na wroga, polegającemu na rozwinięciu w dwu liniach łańcucha strzelców. Stosownie do owego, już przedtem wypróbowanego sposobu, wówczas gdy pierwszy szereg posuwając się naprzód, dawał ognia, drugi stał nieruchomo w miejscu i na deszarże nieprzyjacielskie odpowiadał również tak regularnymi deszarżami, jakby to miało miejsce na placu mustry.

Sposób ten jednak wtedy tylko daje pożądane wyniki, kiedy znajdujący się w łańcuchu strzelcy, mogą się chronić za drzewami, domami i t. d. W otwartem, szczerem polu podobna walka zakończyłaby się zgubnie.

Oprócz rodziny Cairolich i Debenedettich, wielce zasłużonych w sprawie oswobodzenia Włoch, wymienić również należy i rodzinę Bronzettich.

Najstarszy z braci tej rodziny legł w boju z Austryakami pod Seriale, średni zginął śmiercią walecznych pod Castel Morone, najmłodszy z nich, który stanowił jedyną podporę starych rodziców, ofiarował za ich pozwoleniem życie swe na ołtarzu ojczyzny. Major Bronzetti, dowodząc oddziałem około dwustu ludzi, opierał się blisko czterem tysiącom Burbończyków, którzy, pomimo wszelkich wysiłków, nie byli w stanie zdobyć bronionej przez niego pozycji. Po dziesięciu natarciach już niewielu ludzi pozostało do obrony, ale i ci nie chcieli ustąpić. Wówczas oficerowie burbońscy zawołali; „Poddajcie się, a włos z waszej głowy nie spadnie i z honorami wojskowymi będziecie mogli odejść do swoich!“ Na co Bronzetti wraz z towarzyszącymi odparł: „Poddajcie się wy, albo, jeżeli macie odwagę, idźcie naprzód!“

I wystrzeliwszy ostatnie naboje, poległ co do jednego *wszyscy*. Tylko dwu czy trzech ciężko rannych, którzy zresztą później zmarli, przewieziono do Capui.

I gdzie spoczywają dziś szczątki owych bohaterów, gdzie są kości Bronzettiego? Italio, ty kraino grobów i pomników, czy pamiętasz o swym obowiązku?

Wieczorem, po bitwie zatrzymałem się w Sant' Angelo, strudzony okropnie i głodny, jak wilk. Tam, z wielkiem ukontentowaniem, znalazłem moich kochanych karabinierów genueńskich, rozkwaterowanych na probostwie, gdzie również znalazłem pomieszczenie, doskonały i obfity obiad z kawą, oraz wyborny nocleg.

Ale nie było mi widać przeznaczone, abym mógł tej nocy odpocząć, ponieważ zaledwie położyłem się, dano mi znać, że kolumna nieprzyjacielska, złożona z czterech do pięciu tysięcy ludzi i stojąca w Caserta Vecchia, zamierza ją opuścić. Nie można było lekceważyć tej wiadomości, wydałem przeto rozkaz, by o drugiej rano stanęli gotowi do drogi karabinierzy genueńscy wraz ze stu pięćdziesięciu żołnierzami korpusu Spangera i sześciuset góralami z Wezuwiusza.

O godzinie oznaczonej udałem się z temi siłami ku Casercie, górską ścieżyną, wiodącą do San Lucio. Przed dojściem do Caserty, pułkownik Messori, wysłany z poleceniem zbadania pozycji nieprzyjacielskiej, dał mi znać,

że wróg zajmuje wyżyny, ciągnące się od Caserta Vecchia do Caserty, o czem się wkrótce przekonałem.

Dla porozumienia się, oraz wspólnego działania z generałem Sirtorim, cofnąłem się do Caserty.

Po zgromadzeniu wszystkich sił, jakieśmy mieli pod ręką, zwróciliśmy się ku prawemu skrzydłu nieprzyjacielskiemu, pozostawiając w ten sposób po za sobą brygadę Sacchi'ego w San Leuci, wraz z dywizją Bixia, któremu poleciłem uderzyć na nieprzyjaciela od strony Maddaloni. Burbończycy, widząc z wyżyn niewielką ilość wojska w Casercie, postanowili zdobyć tę miejscowość, a prawdopodobnie nie wiedząc jeszcze o wyniku bitwy z dnia poprzedniego, uderzyli wszystkimi swojemi siłami na Casertę. Podczas, gdy ja skrycie zbliżałem się ku prawemu ich skrzydłu, Burbończycy zwarli się z wojskiem, stojącym w Casercie i gdyby nie mężstwo generała Sirtori'ego, byłiby niewątpliwie postawili na swoim, tak zaś zostali zmuszeni cofnąć się ze stratami, tem prędzej, że niespodziewanie dostrzegli ukazujące się moje oddziały. Prawie, że nie stawiali oporu i gonieni przez Kalabryczyków, dobiegli w bezładnej ucieczce aż do Caserta Vecchia, gdzie mieli zamiar bronić się, lecz tu, wkrótce otoczeni, dostali się do niewoli.

Ci zaś, którzy ztąd szczęśliwie pierzchnęli, wpadli znów w ręce Bixia, który właśnie nadszedł. Tak więc cały nieprzyjacielski korpus dostał się w nasze ręce.

Okres naszych walk z r. 1860 go kończy się owem zwycięstwem pod Caserta Vecchia, wywalczonem dnia 2-go Października. Północne wojska włoskie, które dowodzone przez Fariniego i jego kompanów, nas, jako rewolucjonistów, pobić i rozproszyć miały, teraz znalazły w nas braci, którzy utworowali im drogę do ostatecznego pogromu Burbończyków. Pragnąc utrwalić byt moich dzielnych towarzyszy broni, wyraziłem żądanie, by wojska południowe zostały uznane przez rząd za część wojsk narodowych — ale się na to nie zgodzono. Chciano skorzystać z naszych zwycięstw i skorzystano — lecz zwycięzców odegnano precz!

Wobec tego powierzono mi dyktaturę złożyłem w ręce Wiktora Emanuela, ogłaszając go jednocześnie królem włoskim. Zadanie moje zostało na ten raz spełnione.

K O N I E C.



Marya Czesława Przewóska.

## ELLEN KEY

w świetle postępowych dążeń ruchu kobiecego.

ORAZ

REFORMY WYCHOWAWCZEJ.

Zarys syntetyczny.



(Ciąg dalszy).

VI.

Reforma życia i jego ideał Postępu. — Nasz humanitaryzm. — Postępowa myśl polska porobiorowej doby i jej współcześni sojusznicy. — Wielka nasza narodowa spuścizna w idei Odrodzenia w duchu Chrystusowym. — Fundamenty kultury humanitarnej w hasłach odrodzenia moralnego. — Poganizm a Chrystusowość w życiu ludów cywilizacji. — Nasza szkoła Przyszłości i jej „człowiek dostojny.“ — *Synthesis.*

„Wartość wewnętrzna człowieka jest zawsze miarą jego instytucji społecznych, tak, iż pod-

stawą reformy życia może być reforma człowieka.“ To wspaniałe *credo* Mickiewiczowskie wyręby należało złotymi zgłoskami na spiżowych tablicach postępu wszędzie, gdzie myśl reformatorska sięga po lepszą przyszłość społeczeństw cywilizacji.

Dla nas, jako dla narodu, który swą przyszłość oprzeć musi na tryumfie siły moralnej, jako na *dźwigni świata ku lepszemu*, wskazanie to naczelną dla sprawy narodowego odrodzenia. „Upaść może naród wielki, lecz zgiąć tylko nikczemny,“ t. j. taki, który się nie zdobędzie na zwycięską walkę „czynami świętymi“ w zapasach o byt ze znikczemnym wrogiem. Kompromisowych paktów z sumieniem tu być nie może, a siła moralna w walce ma to do siebie, że pokonywa w czasie zakamienialsze pociski przemocy materialnej. Na tej wysokiej zasadzie postępu gruntować reformę życia musi przed innymi naród, który może mieć za sobą prawo do walki o powszechne dobro. Hasło: „Przy zasadach stójmy“ — musi tu być obowiązującym.

Wszyscy nasi ludzie genialni stali na tem stanowisku, zwłaszcza w epoce porobiorowej, kiedy myśl polska wraz z politycznym upadkiem narodu, wzniosła się lotem potężnym, na wyżyny zadań ogólnoludzkich, kładąc ideowe podstawy kultury humanitarnej społeczeństw.

Cechą najznamienniejszą myśli polskiej XIX-go wieku jest szeroko zakreślony i głęboko ujęty humanitaryzm.

Upadek polityczny był narodowi wzrostem moralnym. Myśl społeczno-filozoficzna tego okresu kładła podstawę powszechnego dobra ludów w instytucjach naszych narodowych (konstytucja 3-go Maja), gdzie wielkie dzieło reformy rewolucyjnej odbywało się bez krwi rozlewu, ku podziwowi a nauce obcych. Nasza poezja wieszcza wzbija się na wyżyny najwyższych natchnień człowieczego ducha, a mistyczny pierwiastek prometejskiej literatury romantyzmu pogłębił jeszcze ten głęboki nurt, jakim popłynęła myśl twórcza, materialnie rozdartego narodu.

W idei mesyanizmu wzbija się ona w sfery tak niebosiężne, że stała długo po nad światem przyziemnych człowieczych dążeń, niby szczyt podobłoczny, gubiący się w mgłach zaświatowego ideału. Aż dopiero pogłębiająca się w sobie męczącością niewoli, myśl narodowa pod koniec XIX-go wieku ocknęła się na wysokości podstawowych idei mesyanizmu, pojęła, że tkwi ona u podstawy najżywniejszych naszych dążeń rozwojowych z głębokich łożysk kultury rodzimej idących. Dziś wiemy już, żeśmy bogatsi nad inne narody wielką spuścizną naszej poezji romantycznej. Materialni nędzarze, myśmy przez nią bogacze nad bogaczami, a duchowi wysokich jej objawów wierni, możemy wchodzić pewną stopą na te wyżyny *duchowego królowania myśli twórczej na ziemi, skąd jasną gwiazdą przewodnią świeci ludzkości całej wiekuisty ideał postępu*.

Narodowe odrodzenie nasze ugruntujemy najpewniej i najskuteczniej przez ideową solidarność ze wskazaniem polskiej myśli porobiorowej, a *wierni jej i przez nią*, staniemy się narodem, którego zadaniem będzie „prze-

dnia straż“ na posterunkach postępowych założeń ludzkości.

Pracę tę, pod hasłem: „Bądźmy sobą,“ aby się uchronić od zalewu obcych duchowi naszej kultury dążeń, rozpocząć nam wypadnie od samych siebie przedewszystkiem i od reformy wychowania w duchu szczerze narodowym.

Mickiewiczowska zasada reformy człowieka w naszej narodowej reformie wychowawczej, musi stanąć u steru. Szkoła polska ma wziąć sobie za zadanie kształtowanie *wszechstronne* człowieka, przez rozwijanie równomierne władz rozumowych i uczuciowych ducha. Ta reforma pedagogiczna co do kształcenia strony uczuciowej mianowicie ma jeszcze i to za sobą, że jest to właśnie pole bardzo zaniedbywane w dotychczasowych systemach wychowawczych, na skutek czego mamy całe zastępy t. zw. „wykształconych ludzi,“ w których strona uczuciowa jest jeżeli nie w zaniku, to bardzo słabo rozwinięta. Wychowanie dotychczasowe, jednym słowem, pomija nieraz całkiem z widoku *kulturę ludzi serca*, ludzi dobrych, humanitarnych, ludzkich, bowiem rozwój umysłowy jest przedmiotem głównej troski wychowawców, którzy nie stają na wysokości zrozumienia potrzeby *kształtowania dróg uczuciowych* w człowieku.

Ta wielka luka w naszych systemach wydała smutny rezultat w nadprodukcji tego typu, który na wszelkie bóle ludzkie reaguje przeważnie *mędrkowaniem*, suchem dowodzeniem *rozumowem* tam, gdzie jako lek niezbędny jest podanie *cieplej*, pomocnej *dłoni* bliźniemu w cierpieniu, ukojenia jego bólu *dobrem* słowem, okazaniem współczucia, serca. „Ludzi dobrych“ nie wydaje w ogóle kultura oparta na zasadzie pomijania strony uczuciowej w wychowaniu człowieka, przeto wysoka cnota ewangeliczna miłości bliźniego, oderwana jest tylko od życia w kształcie nieziszczalnego ideału. A tymczasem, pierwszym zadaniem humanitarnego postępu jest wcielić ją w życie, *zaszczepić miłość bliźniego w ludzkich piersiach*.

Wychowanie religijne wraz z „nauką moralności,“ dla wykształcenia strony uczuciowej w dziecku, ma już metody wypróbowane w praktyce pedagogicznej, natomiast strona metodyczna tej rzeczy w wychowaniu bezwyznaniowam jest jeszcze dotychczas białą, niezapisaną kartą w poszukiwaniu koniecznego punktu podparcia dla wychowania etycznego, wskazanego w postulatach kultury humanitarnej.

Z osobistych naszych obserwacji mamy do zanotowania w tym przedmiocie istotnie bezwyjściowe stanowisko jednego z pedagogów tego kierunku, który uskarżał się na kompletny brak *metodycznych* wskazań w zakresie kształtowania strony uczuciowej dziecka. Dla kształcenia dróg rozumowych — konstatował — mamy taką piękną naukę, jak logikę, teorię poznania, z całą metodologią niezbędną, w tej zaś sferze, z nauk pomocniczych nie mamy nic! Na jakich *zasadach* tedy ugruntuje wychowawca w tem, co jest dobrem lub złem? Co mogą mu dać do ręki, nie tylko jako busolę życia moralnego, ale jako środek wychowawczy, na którym mogą się oprzeć w swych wskazaniach doradczych w ten sposób, aby

zdołały one posłużyć w umyśle dziecięcym, kształtowanym na idei względności?

Stanowisko w rzeczy samej bez wyjścia. Jeden z gordyjskich węzłów, zacieśniających się tylko w miarę uznania potrzeby zejścia z uwylączniających kierunków kultury wychowawczej ultra-rozumowej. Wikłanie się w labiryntach sprzeczności.

Dylematu takiego nie znają oczywiście wychowawcy, którzy apelując do *wszystkich* władz duszy dziecka z zasady samorządnego rozwoju wszech władz przyrodzonych, w sferze zagadnień moralnych owierają się na humanitarnych wskazaniach ewangelicznych, jako *bezwzględnie* sterowniczych.

W szkołach etycznych Ameryki w pogadankach z zakresu nauki o duszy, w bardzo prosty sposób trafiają wychowawcy do strony poczciwszej dziecka, prowadząc je po drogach kultury Chrystusowej.

Mówi się np. dzieciom, jako Chrystus przedstawiał chętnie ze złoczyńcami i grzesznikami. Z tego one na razie nie zdają sobie sprawy. Jakto? Czyliż im rodzice i nauczyciele nie zakazują obcowania z niegrzecznymi dziećmi, zbliżanie się do współkolegów, którzy prowadzą się nagannie? Tak, zły przykład nie jest do naśladowania, ale jak właściwie mamy zachowywać się względem towarzyszy złych, nieposłusznych, leniwych? „Unikać ich, stronić od nich,“ — brzmi odpowiedź dzieci. — Czyliż myślicie, że to ich uczyni lepszymi? Czy nie przypuszczacie, że takie postępowanie wasze uczyni złego jeszcze gorszym? Czyliż wy także jesteście bez winy? A czyliż nie uczuwacie potrzeby serdecznego słowa, przyjacielskiej ręki tem goręcej właśnie wówczas, im się czujecie mniej tego warci? Na temat ten budzi się ton współczucia względem niedoli człowieka, opuszczonego przez swoich najbliższych, przedstawia się stan cierpienia moralnego takiej jednostki wzgardzonej, ukazuje się fatalne następstwa takiego wychodzenia z bliźnim swoim, w którego duszy zasiewamy tą drogą ziarna nienawiści, złości, zawiści, przez co pogrąża się on tylko w coraz gorszy upadek moralny. „Kochaj bliźniego swego,“ to znaczy: nie potępij go, nie sądź surowo, ale dopomóż mu do poprawy, przez okazanie mu serca i życzliwe słowo dobre, przez współczucie niedoli. Oczywiście tego rodzaju rady w duchu miłości chrześcijańskiej popierają przedewszystkiem wychowawcy przykładem własnym, umiejętnością postępowania ze złem, krnąbrnym, zepsutem moralnie dzieckiem.

Metoda taka czyni swoje. Dzieci zastanawiają się, myślą, wczuwają w stany duszy swojej i drugich. Kultura ziarn Chrystusowych wzrasta na dobrze uprawianej glebie. Zrozumiały dla czego Chrystus nie unikał występnych. Pojęły Jego miłosierdzie. W życiu już one pójdą „W Jego ślady.“

Oto wysokie stanowisko *ludzkie*, jakie wskazuje humanitarnie postępowemu wychowaniu zasada kształtowania uczuć moralnych w człowieku. Oto zasada wytwarzania od podstaw, w myśli idei *kształtowania człowieka*.

Stanowisko to spotkać się już dziś musi ze światłą aprobatą w dziedzinie reformy wychowawczej ze strony wszystkich mądrych pedagogów naszej doby, zdających sobie spra-

wę z tego, na czem polega zło w przejawach dzikiego barbarzyństwa ludów cywilizacji. Na wysokim stanowisku humanitarnem staje między innymi i amerykański prezydent Roosevelt, który na jednym z kongresów matek w Ameryce, przed paroma laty, wygłosił przemówienie, w słowach pełnych wiary w sprawach odrodzenia, o treści następującej:

„Dzieci wasze staną się ludźmi, których zadaniem będzie rozwiązanie wielkich zagadnień stulecia. Będą one musiały zająć swe stanowiska *ludzkie* względem tej dzikiej walki ludów, która zapowiada się tak strasznie. Na barki ich spadną zadania bardzo trudne. Każde źdźbło moralności, szlachetnego męstwa, bohaterskiej odwagi, uczuć podniosłych, znajdzie tu sweje wysokie zastosowanie. Potrzebować będziemy ludzi zdrowych moralnie, silnych duchem; ludzi szlachetnych, dzielnych, nie ograniczających swych wielkich zadań człowieczych do marnych zadowoleń osobistych. Potrzebować będziemy ludzi zdolnych do przejścia się żywotnym wstrętem względem wszystkiego, co jest zwyrodniałem; ludzi sprawiedliwych, dzielnych, ludzi, których zadaniem będzie — uczynić świat człowieczy tem, czem on być powinien.“

Ukazawszy matkom ten wysoki ideał wychowawczy, zwraca uwagę ich na gwałtowną potrzebę kształcenia *charakteru* dziecka w kierunku uczuć humanitarnych, na rozbudzenie uświadomienia wszystkich zadań człowieczych, za które dźwiga się odpowiedzialność.

„Dołóżcie wszelkich starań, aby zasiewać w dusze waszych dzieci ziarna sprawiedliwości — woła z namaszczeniem apostoelskim ten światły mąż stanu. — Jest prawdziwą zbrodnią ze strony matek nieumiejętność skierowania dzieci na drogi rozwoju moralnego. Uczucie wojowniczości, cechujące wasze chłopięta, ich wieku dziecięcego „*psotliwość*“, *okrucieństwo* względem zwierząt, jako też *istot upośledzonych*, skierowujcie na rzecz rozwoju uczuć ludzkości, jak: obrona słabszych, starców, kalek. Karacie surowo każdy objaw dzikości, niechaj dziecko zaprawia się od lat najmłodszych do *ćwiczenia się w walce z niskimi instynktami swej natury*. „*Psotliwy*“ malec staje się złym człowiekiem przez nieumiejętność przewodnictwa wychowawców. *Urabianie ludzi to wielka, a tak zamiedbana umiejętność.*“

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Ze wspomnień Siostry Miłosierdzia.

### Antośka.

Wyratowano ją z nurtów Wisły, chciała się utopić. Nieprzytomną, w gorące odwieziono do nas. Była to noc zimna, listopadowa; wywiązało się w skutek przeziębienia zapalenie płuc.

Antośka (tyle tylko można się było od niej dowiedzieć, że jej na imię Antośka) dwa tygodnie była między życiem a śmiercią. Była

to młoda, ośmnasto-letnia może dziewczyna, niezwykle piękna, o bujnych kasztanowatych włosach i czarnych, ognistych oczach.

Noc niejedną w czasie największego niebezpieczeństwa spędzałam przy niej. Leżała godzinami całymi bez ruchu, z szeroko otwartymi oczyma, czasami tylko jakieś słów parę bez związku wybiegało na jej spalone usta. Raz zdawało mi się, że mówi przytomniej, pochyliłam się nad nią. Nocna lampka drżące rzucała blaski na jej twarz o gorączkowych wypiekach, włosy gęstą falą opływały jej głowę, oczy wlepiła w jeden punkt sali, a usta rozchylił uśmiech rozkoszny.

— Stachu — szeptała, — Stachu, ja wiedziałam, że przyjdiesz!

Wydała mi się tak przedziwnie piękna, że oczu od niej oderwać nie mogłam.

— Ty mnie kochasz — mówiła dalej Antośka, wyciągając ręce — ty mnie kochasz, prawda? a mnie się zdawało!... Stachu, przebac, ja bez ciebie żyć nie mogłam, nie mogłam!...

Silny atak kaszlu przerwał jej słowa, podałam jej lekarstwo — i znów leżała cicha i nieruchoma.

— A więc to znowu jedna z ofiar uczucia? — myślałam, wpatrując się w Antośkę.

Nazajutrz nastąpiło przesilenie. Po silnej gorączce przyszedł sen mocny i poty obfite. Antośka była ocalona.

Przebudziła się przytomna, choć nadzwyczaj słaba. Zdumionym wzrokiem poprowadziła po sali.

— Co to? gdzie ja jestem? to szpital? — szepnęła.

Zbliżyłam się do niej, mówiąc:

— Tak, to szpital, moje dziecko; byłaś bardzo chora.

Antośka brwi zmarszczyła, skupiając myśli.

— Wiem, uratowali mnie. Po co?

Tyle głuchego bólu drgało w jej głosie, że dreszcz mię przeszedł.

— Bóg widać chciał, byś żyła jeszcze! — odpowiedziałam.

Uśmiechnęła się gorzko, ale nie odrzekała.

I znowu dni mijały. Antośka była coraz silniejsza, siadała już na łóżku, za parę dni wstać miała.

Parę razy próbowałam porozmawiać z nią trochę — pytałam o jej rodzinę, o przeszłość, o zajęcie. Zbывała mnie krótko.

Dowiedziałam się tylko, że ma ojca, że pracowała w magazynie strojów damskich, że była zaręczoną.

W wigilię opuszczenia szpitala zastałam ją o zmroku, siedzącą w fotelu przy oknie.

Śnieg pomieszany z deszczem uderzał o szyby, wiatr wył i jęczał przeciągle.

Antośka patrzyła w dal, oczy jej mgłą zaszyły, gorycz wielka rysowała się koło ust, cudnych jak owoc granatu.

Na odgłos moich kroków drgała. Miałam chwilę wolną, usiadłam przy niej.

— Gdzie zamierzasz się udać, moje dziecko? — rzekłam łagodnie, — wszak jutro wypisują cię ze szpitala.

— Nie wiem... — odparła głucho.

— Wspomniałaś, że masz ojca, udaj się więc do niego. Zdrowa już jesteś, ale osłabiona i potrzebujesz wypoczynku.

— Nie mam tam po co wracać! Po co, po

coście mnie uratowali! — zawołała nagle z wzbuchem. — Gdzie pójde? Jedno tylko znam miejsce, gdzie każdej chwili przyjmą mnie z radością, ale iść tam nie chcę, nie chcę!... — zakryła twarz rękoma. — Kusił mię oddawna, obiecywał powozy, brylanty; pracowałam ciężko, jednak odpędziłam... ze wstrętem... bo kochałam Stacha i wierzyłam, że on mnie kocha. Tymczasem on — zaśmiała się gorzko — on mnie shańbił... i żeni się z inną.

Śmiech jej przeszedł w łkanie, mówiła gorączkowo, bezładnie, głosem przerywanym łzami:

— Gdy mu to wyrzucałam, rozśmiał się, nazwał mnie okropnie, mówił o bogatym żdzie, mówił, że liczyć się ze mną nie trzeba. Przysięgałam, że jestem niewinna, jemu zawsze wierna. zawsze, odepchnął mnie ze słowami:

— Dość tej komedii, w budzie, z twoją urodą, śmiesznie mówić o uczciwości. Wróciłam do ojca złamana, ledwie żywa. Ojciec mnie wypędził; nie za to, że jestem shańbiona, ale, że Stach był biedny, a mogłam mieć milionera.

— Nie masz litości nad starym ojcem w nędzy, przy twojej urodzie moglibyśmy opływać w dostatki — wyrodne dziecko!

A przecież każdy ciężko zarobiony grosz oddawałam ojcu. Prosto od ojca pobiegłam do Wisły.

Umilkła — dysząc ciężko.

Z przerażeniem słuchałam strasznego opowiadania Antośki. Wzięłam ją za ręce, spojrzalam w te piękne, pełne ponurego ognia oczy.

— Antośko, zostań z nami, spróbuj by Siostrą Miłosierdzia, zawołałam serdecznie.

Dziewczyna przecząco poruszyła głowę.

— Nie, ja nie mogę zamknąć się w tych murach, poświęcać się ciągle, ciągle widzieć łzy i cierpienia, to nad moje siły. Ja kocham świat!

— A chciałaś go opuścić na zawsze?

— To było wtedy pod strasznym rozdrażnieniem chwili, byłam nieprzytomna, szalona! Dziś jużbym nie miała odwagi!

Pochyliła głowę, łzy spływały po bledych policzkach.

Jakże była piękna! Wyczytała zachwyt w moich oczach; odrzuciła głowę na poręcz fotela.

— Ładna jestem, prawda? — zaśmiała się gorzko. Ach! jak to ciężko jest być ładną i biedną przytem, to prosta droga do hańby. Któż uwierzy w uczciwość pięknej panny z magazynu! Może i Stach miał rację, że nie wierzył... dotąd wytrwałam, lecz za przyszłość któż ręczyć może! Piękną jestem, a nędza, to straszny doradca.

Tłumaczyłam Antośce, że każdy uczciwie pracować może, że sumienie czyste, to skarb największy. Słuchała mnie uważnie, ale jakiś niedobry ogień palił się w jej oczach.

Nazajutrz w dżdżyste, zimne popołudnie Antośka opuszczała szpital. Stała długo przy bramie milcząca, ponura, z wyrazem zaciętości na ustach, blada i nędzna, a pomimo to zawsze piękna w swoim wytartym zakieciuku.

Rok cały minął, Antośka pomimo obietnic, nie dawała znaku życia. Często myślałam, jaki los spotkał piękną a nieszczęśliwą dziewczynę.



Raz, gdy zamysłona, przechodziłam ulicą, omal nie przejechał mnie elegancki powozik, zaprzężony w dwa pyszne araby.

Usunęłam się na bok. W powozie siedziała oparta niedbale na pluszowych poduszkach wspaniała postać niewieścia.

Rysy te wydały mi się znajome, te bogate włosy, oczy błyszczące... tak, to była Antoska.

I ona poznała mnie także, bo silny rumieniec twarzy jej oblał, odwróciła głowę.

Powóz minął mię, rzucając w około błotem.

M. Krzywdą.



## Praca kulturalna kobiet rosyjskich.

ze źródeł obcych  
spolszczyła J. W.



(Ciąg dalszy).

Już dosyć dawno rosyjanki wywalczyły sobie wstęp do biur budowlanych; pracują one jako rysowniczkami tak w biurach prywatnych, jak i zarządach kolejowych, oraz rozmaitych instytucjach miejskich. Za zajęcia niższe, podrzędniejsze, pobierają one około 50-ciu rubli miesięcznie; przy dniu roboczym, wynoszącym sześć godzin. W Moskwie zawód ten zatrudnia pokaźny zastęp kobiet, z których kilka wykształciło się na skończone architektki. Ścisłych danych statystycznych przytoczyć tu niepodobna, gdyż zmieniają się one corocznie.

Przed laty, kilku młodych artystów założyło dla kobiet kursy architektoniczne, równoległe z kursami dla mężczyzn; po ukończeniu kursów tych kobiety mogłyby, przy usilnej pracy i odpowiednich zdolnościach zarabiać 200 do 400-tu rubli miesięcznie. Tutaj również kierowano się myślą przewodnią, aby zdrowszy, pracowitszy element kobiecy stanął do konkurencji z mężczyznami, a nadto, aby go wciągnąć w dziedzinę sztuki dekoracyjnej. Projekt ten wyszedł z łona dziewięciu młodych budowniczych, którzy, wytykając współczesnej architekturze rosyjskiej brak stylowości, upatrywali w zlanu się elementu kobiecego z męskim — nową drogę.

Atoli rządowa akademia sztuk pięknych w Petersburgu nie dopuszcza kobiet do kursów architektonicznych; minister stojący na czele tego działu jest temu przeciwny. Ta zależność od pojedynczych osobistości, daje się odczuć w bardzo przykry sposób, tłómaczy jednak fakt, że niedopuszczenie kobiet do pewnych działów nauki (z wyjątkiem prawa) nie daje się sprowadzić do jednolitych zasad. Kobieta energiczna, rzeczywiście zdolna i pracowita, w Rosyi zawsze dojdzie do celu.

Przy wyższych kursach naukowych profesora Guerrier w Moskwie, zamkniętych za panowania Aleksandra III-go, a otwartych ponownie po wstąpieniu na tron obecnego cesarza, otwarto w ostatnich czasach wydział chemiczny i metalurgiczny. Instytuty rządowe chemiczno-metalurgiczne, tak jak i cesarskie

fabryki broni, ofiarowały kobietom, poświęcającym się odnośnym studjom, świetnie płatne posady. Spotyka się też kobiety pracujące w instytutach bakteryologicznych; działalność ich na tem polu jest niezmiernie ceniona. Dział ten nie został wymieniony przy zawodach, związanych z naukami lekarskimi, gdyż do czynności w laboratoriach bakteryologicznych nadają się wszystkie kobiety inteligentne, po otrzymaniu ogólnego wyższego wykształcenia. Praca ta wymaga takiej subtelności, sumiennosci i czystości, że delikatne ręce kobiece najbardziej są do niej odpowiednie. Niestety, Rosya jest bardzo uboga w instytuty bakteryologiczne; o posady więc takie nie jest łatwo.

Wszystkie powyżej wymienione zawody, czy to praktyczne, czy naukowe, wymagają starannego przygotowania w wyższych zakładach naukowych, z natury więc rzeczy są dostępne tylko dla sfer inteligentnych.

Należy z kolei wymienić jeden jeszcze zawód, który, nie wymagając wyższego przygotowania, jest i dla kobiet z proletaryatu dostępny; jest nim zecerstwo i drukarstwo. Dostęp do zawodu tego ułatwiła rosyjskiemu proletaryatowi jedna z właścicielek drukarni, otwierając wstęp do niej tylko kobietom. Niema nic dziwnego w tem, że kobiety są zecerkami, gdyż zecerstwo jest pracą przyjemną, łatwą i nie wymagającą wysiłku, ale że stają się drukarkami, obsługującymi wielkie, ciężkie maszyny bez żadnej męskiej pomocy — jest to zjawiskiem zupełnie nowem, spotykanem po raz pierwszy w Moskwie, w drukarni Herbeka. Zjawisko to znalazło należyta ocenę w Niemczech, z kąd wysłano specjalną komisję dla naocznego przekonania się o tym fakcie. Panowie z owej komisji byli niezmiernie zdziwieni, a zdumienie ich spotęgowało się jeszcze, gdy się dowiedzieli, że pani Herbek każdą z dziewcząt sama zajęcia tego wyuczyła, i w ten sposób, w przeciągu pięciu lat wyszkoliła sześćset dzielnych pracownic. Przytem drukarnia pani Herbek uchodzi za najlepszą w całym kraju, pojęcie zresztą bardzo względne, albowiem rosyjskie drukarnie stoją w ogóle na bardzo niskim poziomie; o Herbekowskiej jednak powiadają, że jest wzorową i nie ustępuje w niczem zagranicznym, śmiało z niemi konkurować może. Niestety, przedsiębiorstwo to doznało materialnego niepowodzenia; pani Herbek bowiem nie posiadała odpowiedniego kapitału, któryby jej pozwolił urzeczywistnić jej piękne ideały, tak, że dzisiaj znajduje się w bardzo ciężkiem położeniu materialnem. Byłoby niezmiernie pożądane dla wszystkich sfer, specjalnie zaś dla proletaryatu, aby ktoś ofiarował odpowiedni kapitał, przy którego pomocy przedsiębiorstwo to można by podnieść i przekształcić tak, aby było czynne przynajmniej jako szkoła zecersko-drukarska, było ono bowiem jedynem, starającym się o podniesienie poziomu kulturalno-oświatowego najniższych sfer. Dziewczęta były tam traktowane nie jako maszyny robocze, lecz udzielano im elementarnych podstaw wiedzy i uczono zasad moralności.

Rzadko kiedy pada nasienie na glebę tak nieurodzajną, iż żadnego ziarna nie wyda; jeżeli więc te sześćset dziewcząt zostanie kie-

dyś matkami i wpoi w serca swych synów choć część swych dobrych, nabytych u p. Herbek zasad, uczyni ono dla Rosyi więcej, niż wszyscy ministrowie.

Straszny obraz, jaki przedstawia w swoim zezwierzęceniu proletaryat rosyjski, tak męski, jak i żeński, jest wieczną plamą na społeczeństwie rosyjskiem.

Nie się nie czyni, aby podnieść lud z jego ciemnoty i zwierzęcej egzystencji, nie dopuszczającej żadnego światła, żadnych pojęć wyższych. Racyonalną i energiczną pomoc mogłyby tu okazać tylko szkoły ludowe; tych jednak w Rosyi jest bardzo niewiele i stoją one na bardzo niskim poziomie. W Rosyi nie ma bezpłatnego nauczania przymusowego. Miasta są pokrzywdzone, ale stosunki wiejskie są wprost straszne; ciemnota jest tam jeszcze większa i wszelkie dążenia kulturalne napotyka ją na znacznie większe trudności.

Stosunki te mają dużo wspólnego ze sprawą kobiecą. Znacznie więcej, niżby się na pozór zdawało.

Dobitny obraz tego przedstawia jeden z artykułów niemieckiego czasopisma „Petersburger Herold“ pod tytułem: „Nauczyciel jako włóczęga.“ „Saratowski dziennik“ zwraca uwagę na niezwykle dziwne zjawisko życia wiejskiego, na nauczycieli, którzy się włóczą i tułają po wsiach, tak małe jest zapotrzebowanie ich usług. Pochodzenie owych nauczycieli włóczęgów jest nader rozmaite: rekrutują się oni często z byłych studentów, dymisjonowanych żołnierzy, byłych duchownych, najrozmaitszych pisarzy i autorów, słowem zwichniętych egzystencji we wszelkich zawodach. Ogromna większość tych ludzi, którzy już wszystko w życiu stracili i którym nic nie jest obce. Zapomnieli już ongi nabyte wiadomości, tak, że wiedza ich nie jest głęboką. Na wiosnę i w lecie ludzie ci włóczą się po miastach i napełniają szynki i herbaciarnie, w których pisują za innych gości, analfabetów, listy i skargi, zarabiając tem na wódkę.

Jesienią, pakuje taki nauczyciel swe nędzne manatki, bierze kij podróży do ręki i wędruje do najbliższej wsi, aby tam wszczepić swą mądrość w mózgi chłopskich dzieci. Dużo jest takich nauczycieli włóczęgów, mających stałe wsie, do których rok rocznie powracają, wieśniacy znają ich dobrze, cieszą się ich powrotem, a ceniąc ich zalety, wybaczą im wady. Są też tacy między tymi nauczycielami, przed których powrotem, nie bez powodu, wieś cała drży, jak przed ogniem. Gdy się taki nauczyciel, włóczęga zjawi we wsi, odczuwającej potrzebę nauki, musi zacząć swoją działalność od „zbierania“ uczniów. Nauczyciele posiadający rzeczywiście większy zasób wiadomości, chcąc nadać osobie swojej powagę, zwracają się o protekcję do duchownych. Honorarium, przyznawane takim nauczycielom wynosi 50 kop. do rubla miesięcznie od dziecka. Na szkołę wynajmują zwykle jakąś pustą chałupę, często jednak lekcye odbywają się kolejno we wszystkich chatkach. W pierwszym wypadku nauczyciel wymawia sobie odpowiednią ilość produktów żywności, w drugim zaś stołuje się w tej chacie, w której lekcya się odbywa. O jednolitości w nauczaniu nie może być mowy, ka-

zdy nauczyciel uczy podług swego widzi mi się, Chłop rosyjski jest nadzwyczajnie skąpy, nauczyciel więc nie śmie stawiać żadnych warunków wygórowanych. Zresztą wszelkie rezultaty nauczania ujemne przypisywane są li tylko uczniom, gdyż w pojęciu ciemnych chłopów, nauczyciel zajmujący się przez cały dzień dziećmi i tłukący często i silnie leniwych i niepojętnych, musi być dobrym pedagogiem. Tylko naoczny świadek takich lekcji musi głęboko współczuć zarówno rodzicom jak i dzieciom. Brudny, obszarpany, cuchnący wódką człowiek, panuje nad niewinnymi duszami dziecięcymi; przytem schlebiam każdemu pijanemu chłopu, w nadziei wyżebrania od niego kieliszka wódki; przed każdym bogatszym gospodarzem chwali swoją sztukę, aby sobie zdobyć jego łaskę. Owi nauczyciele włóczęgi tworzą niebezpieczny element, na który władze żadnej uwagi nie zwracają.

(Dokończenie nastąpi).



## Sztuka i literatura zagraniczna.



\* Sezon teatrów paryzkich wre już w całej pełni; niema tygodnia, żeby nie odbyła się jedna z zapowiadanych i szumnie reklamowanych premier, a choć nie wszystkie zapewne zostaną w literaturze, jako rzeczy wartościowe, to jednak spotykamy wiele interesujących nowości. Teatr Antoine'a wystawił świeżo dwie nowości: „Maman Robert“ Sabatier'a i „La Sacrifiée“ Devore'a. „Maman Robert“ podbiła słuchaczy oryginalnością pomysłu, choć autor popełnił pewne niezręczności w rozwiązaniu sztuki. Mama Robert, to starszy brat, który względem młodszego, Piotra, odgrywa rolę matki i opiekuna. Obaj wcześniej zostali osieroceni. Piotr jest artystą, nerwowym, niepraktycznym i w ogóle nie umie sobie radzić bez pomocy i opieki Roberta, który kocha brata nad wszystko i zdolnym jest dla niego do wszelkich poświęceń. Jest zaręczony i zakochany; przekonywa się jednak, że narzeczona jego kocha Piotra, wzajem od niego kochana; wyrzeka się jej i dopomaga bratu do pobrania się z ukochaną. Nie rezygnuje jednak z roli „mamy“ w domu młodszego brata, doprowadzając do rozpaczyny młodą żonę, która, aby się pozbyć „teściowej Roberta“, ucieka się nawet do insynuacji, dając mężowi do zrozumienia, że Robert w dalszym ciągu się do niej zaleca. Z kłopotliwej, quasi tragicznej, sytuacji wybawia wszystkich młoda, energiczna, zakochana w Robertcie dziewczyna, która otwiera mu oczy na nietaktowne zachowanie, i odrywając go od brata, tem samem zapewnia małżeństwu spokój. Sztukę grano doskonale, i pomimo drobnych usterek, wróżą jej dłuższą przyszłość na scenie Antoine'a.

Pan Devore pisał dotąd nie wiele, a sztuki jego („Les Demi Soeurs“), („la Conscience“), poświęcone są stosunkom i konfliktom rodzinnym. W nowej sztuce „La Sacrifiée“ z bogaceni dorobkiewiczze, państwo Baudricourt,

mają trzy córki; najstarsza, Kopciuszek w domu, pełni rolę nauczycielki, służącej, opiekunki. Druga z rzędu, Zuzanna, jest ulubienią rodziców, z krzywdą najstarszej i najmłodszej, Janiny, dziewczyny dzielnej, energicznej i wyzwalającej się z pęt przesądów burżuazyjnych. Janina kocha majstra młodego z fabryki ojca, prawą rękę i pomocnika jego. Dorville, choć nie ma kultury, jest również dzielnym chłopcem, inteligentnym i odwzajemnia się Janinie całą duszą. O Zuzannę stara się syn zrujnowanego, w tajemnicy jeszcze, bankiera, który posagiem jej ma zamiar naprawić swoje interesy i żąda miliona franków posagu. Każda z córek ma wyznaczony posag 300,000 fr. Ale matka, kochając nad wszystko Zuzannę i widząc szczęście w tym związku, postanawia dwóm innym odebrać pieniądze, a wszystko dać ulubienicy swojej. Tymczasem Janina dowiaduje się od Dorville'a o całej prawdzie i rzuca ją rodzicom, a gdy posadzają ją, że spotwarza konkurenta, bo idzie jej o jej posag, opuszcza dom, idzie do Dorville'a i zostaje jego kochanką. Wkrótce Baudricourtowie przekonują się, że Janina mówiła prawdę — idą więc do Dorville'a, przepraszają ich oboje, żądają, by wzięli ślub, a w zamian za to posag dostaną. Dorville odmawia jednego i drugiego. Zabierze Janinę i wyjedzie z nią do Ameryki, a miłość ich i zobowiązania moralne trwalsze będą nad wszelkie przysięgi u mera.

Dwa pierwsze akty przyjęte były niemal entuzjastycznie; trzeci włócił się cokolwiek ospale. Dorville wypowiadał za dużo paradoksów i utartych morałów, ztąd osłabiło się wrażenie dobrej zresztą i żywo napisanej sztuki.

\* Komedia francuzka sezon zimowy otwiera sztuką trzyaktową pp. Gheusi i Guiches p. t.: „Chacun sa vie.“ Tytuł przypomina Ibsena. Miejskami też czuje się, że na dnie sztuki sporzywa coś z głębokiej filozofii subiektywizmu północnego: żadne względy, żadne tak zwane prawa socyalne, albo socyalne urządzenia, nie powinny nas wstrzymywać, aby żyć naszym własnym życiem. Obaj autorowie jednak postarali się, żeby widz nie miał czasu zastanawiać się nad tezą sztuki. Inżynier Desclos przekonywa się, że żona jego, kokietka, stanowczo nie jest dla niego odpowiednią. Ożenił się z nią z miłości, ale się pociesza, widząc, czem jest dla niej: bogatym mężem tylko, dostarczającym pieniędzy na piękne toalety. Wreszcie zakochała się w młodym arystokracie. Inżynier nie chce stać na drodze do jej szczęścia i proponuje rozwód: w kilku paradoksalnych scenach namawia żonę do tego i przekonywa młodego arystokratę, którego zasady katolika głęboko wierzącego nie pozwalają mu na takie rozstrzygnięcie kwestyi; dopiero gdy Desclos oświadczył, że nie zezwoli, aby żona jego została jego kochanką i raczej zatrzyma ją przy sobie, młody d'Arvant decyduje się przełamać przeszkody i ożenić z panią Desclos, a pan Desclos tymczasem połączy się z młodą, dzielną dziewczyną, która wraz z nim pracować będzie. Sztuka ma żywą bardzo akcję, dużo dowcipu i przyjęta była przez krytykę i publiczność przychylnie.

\* W Dreźnie wystawiono po raz pierwszy no-

wą operę znakomitego muzyka Alfreda Grünfelda p. t.: „Die Schönen von Fogaras.“ Jest to pierwszy utwór operowy Grünfelda. Libretto do opery, według noweli węgierskiej Mikszath'a, ułożył Victor Leon. Jest to historia siedmiogrodzka, z czasów króla Macieja. Miasteczko Fogaras zostało pozbawione mężczyzną, gdyż król „pożyczył“ ich sobie na wojnę i nie „oddał“, bo jedni poginęli, a drugich wzięto w niewolę; pozostawione więc własnej opiece niewiasty, radzą sobie, jak mogą, aż w końcu, gdy im to bardzo dokuczyło, postanawiają udać się do króla z prośbą, aby ich obdarzył mężami, w zamian za utraconych. Król jednak przede wszystkim uznał za konieczne poznać kobiety z Fogaras, ażeby osądzić, czy zasługują na względy i objawił życzenie, ażeby trzy piękności miejscowe przyszły do niego w deputacyi. Jakże jednak ułożyć deputację, kiedy wszystkie są okropnie brzydkie. Młoda i wesola dama dworu, hrabianka Honay, która była zdala przedmiotem gorącej miłości króla i którą usunięto w celu narzucenia innej kandydatki, wpadła na myśl, ażeby się przebrać za chłopkę z Fogaras i razem ze swą pokojówką i gęsiareczką ze wsi, blondynką, przedstawić się królowi. Król młody i skory do wszelkiej krotchwili, ze swej strony przyjmuje deputację w sposób niezwykle, bo w przebraniu, niedozwalającym nikogo w sposób właściwy rozpoznać. Kucharz za króla, król przebrany za kucharza, za nimi wszyscy dygnitarze wraz ze służbą dworską, zamieszanie, z którego trudno wybrnąć. Król jednak i hrabianka zapoznali się; za tą parą poszły inne, a białogłowy z Fogaras uzyskały przede wszystkim jedną ze swych reprezentantek na tronie, zamiast narzuconej królowi obcej córki Palatyna. Treść niepretensjonalna, nastęrcza dużo materiału do scen komicznych i wesołych, które potrafił wyzyskać zarówno autor muzyki, jak i libretta. Opera wystawiona była niezwykle starannie, nawet z przepychem, przyjmowana owacyjnie przez publiczność, podbitą przesłizną, lekką muzyką.

\* Jerzy Hirschfeld, znany autor „Matek“, złożył dyrektorowi „Kleines Theater“ w Berlinie cykl czterech jednoaktówek, pod ogólnym tytułem „Wierni.“ Kobięce role we wszystkich czterech, z których każda inaczej zatytułowana, będzie grała słynna aktorka, Agnes Sorma.

\* Berliński „Kleines Theater“ rozpoczął nową sztukę Svena Lange, znanego autora „Cichych tragedii“ p. t.: „Die Stimme der Unmündigen“ („Głos nieletniej“). Autor duński poszedł za przykładem Wedekinda i zajął się tragedją, jaka się rozgrywa w budzącej się do życia dziewczynce. Bohaterką sztuki jest 14-sto letnia Magna, córka rektorstwa Frochlichów, ludzi, prowadzących żywot cichy, pracowity i spokojny. Przyjeżdża do nich młody śpiewak opery, kuzyn, i wszystkie podlotki, nie wyłączając małej Magny, czują się w obowiązku kochać w nim, lecz dziewczynka wyobraża sobie, że śpiewak ma romans z matką, że wyjedzie z nią do Afryki i postanawia za jakąbądź cenę matkę uratować; zmusza aktora zachowaniem swoim do wyjazdu; a w ostatnim akcie jest przyczyną sceny między rodzicami, która im otwiera oczy

na ich dotychczasowe życie. Wierzyli w to, że są szczęśliwi, tymczasem drobny podmuch wiarę tę rozproszył, przekonali się, że szczęście ich było tylko rezygnacją. Sztuka Sve-na Lange jest raczej szkicem psychologicznym, niż dramatem; akcyi scenicznej ma ona niewiele, porywa jednak prostotą i głębią psychologii i dramatycznym napięciem. Powodzenie miała rzetelne.

\* W Sztokholmie wystawiono po raz pierwszy niegrają jeszcze sztukę Strindberga bań dramatyczną: „Oblubienica koron“ Myślą przewodnią bajki jest: Wina, Kara, Pokuta. Kersti porzuca dziecko swoje, ażeby zostać narzeczoną królewską. W dniu wesela aresztują ją, skazują na śmierć, lecz, w drodze łaski, zamieniają karę na dom poprawczy; wreszcie przez śmierć swoją pogodziła dwie rodziny. Kersti sama nosi w sobie ideę dramatu; jest ona postacią, dokoła której wszystko się obraca. Narzeczony jej, Mats, z gruba zaledwie zarysowany. Wszystkie inne postacie istnieją tylko po to, aby tę jedną, główną, uwypuklić, uwydatnić jej dumę, jej stanowczość i okrucieństwo, lęk wobec wyrzutów sumienia, aż w końcu, po wyroku, wyłoni się z tego wyniosły spokój ducha. Genialnym jest zestawienie prawdy życiowej z baśnią; dialog niezwykle piękny. Publiczność z wielkim przejęciem słuchała po raz pierwszy ukazującego się, choć nie nowego, utworu ulubionego autora.

\* Dnia 20-go Września Herman Suderman święcił pięćdziesiątą rocznicę swoich urodzin, a wraz z nią jubileusz setnego wydania jednej z najpiękniejszych powieści swoich „Kumy troski.“ Dzieło znane, które Sudermana postawiło odrazu w szeregu najpierwszych pisarzy, napisane było w roku 1887-ym; pięćdziesiąte wydanie ukazuje się w roku 1900-ym.

m. ł.



## Z TOWARZYSTWA

### Kolonii letnich dla kobiet pracujących.



Myśl rzucona jeszcze w roku 1902 przez małe kółko osób, przybrała w bieżącym roku zupełnie stanowczą formę. Po pięciu latach starania się o zlegalizowanie, Towarzystwo otrzymało wreszcie w tym roku pozwolenie na otwarcie letnisk bezpłatnych we wszystkich okolicach Królestwa Polskiego. Statut określa cele i zadania Towarzystwa w sposób następujący:

§ 1. Towarzystwo Kolonii letnich dla kobiet pracujących ma na celu dostarczenie osobom płci żeńskiej, poczynając od 13 lat życia, pracującym fizycznie lub umysłowo—cierpiącym niedostatek — wypoczynku letniego dla poprawy zdrowia.

§ 2. Zgodnie z powyższym celem Towarzystwo urządza w wiejskich lub leczniczych miejscowościach kolonie letnie, w których umieszcza bezpłatnie biedne, chorowite pracownice, dostarczając im utrzymanie i opiekę ogólną, oraz lekarską.

*Uwaga.* Pracownice, nie cierpiące niedostatku, lecz nie posiadające dość środków po temu, aby na własny koszt wyjechać na letni wypoczynek, mogą—za zgodą Zarządu Towarzystwa—korzystać z usług i opieki jego, pod warunkiem zwrotu kosztów utrzymania.

§ 3. Działalność Towarzystwa rozciąga się na całe Królestwo Polskie, w którego granicach ma prawo zakładania oddziałów.

§ 4. Członkami Towarzystwa mogą być wszyscy bez różnicy płci, zawodów, stanów i wyznań.

§§ 5 i 7. Członkowie dzielą się na: honorowych, rzeczywistych i zwyczajnych. Członkowie rzeczywisti (płacący rocznie 6 rb.) i zwyczajni (płacący rocznie 2 rb.) — przyjmowani są na podstawie zawiadomienia piśmiennego, złożonego do Zarządu Towarzystwa. (Tymczasowy Zarząd mieści się przy ul. Wareckiej N-r 15, m. 6).

W skład Zarządu Towarzystwa wchodzi: d-r Stanisława Popławska (prezes), Rozalia Brunerowa (wiceprezes), adw. Herman Eberhardt (sekretarz), adw. Jan Gumiński (skarbnik), Marya Arct-Golczewska, Aniela Eberhardtowa, Janina Szumlańska, d-r Edward Flatau, inż. Wiśniewski.

W myśl statutu, założono w tym roku dwa letniska—jedno w Wierzbicy, pod Serockiem, drugie w Laskach, pod Warszawą—podobnie jak w roku zeszłym. Mieszkania zostały ponownie zaofiarowane przez pp.: Skarzyńskiego i Daszewskiego.

W Wierzbicy nad Narwią domek niewielki, otoczony parkanem z podwórzem, na którym dwa wielkie kasztany zwabiają pod swój cień, zawiera 5 izb, w których mieściło się w tem lecie po 35 letniczek w obydwóch sezonach.

Liczba to stanowczo za wielka na tak szczupłe pomieszczenie, ale że Towarzystwo rozporządzało bardzo małymi funduszami, a zgłaszających się było za wiele, musiał się więc Zarząd zgodzić na mniej bezpieczne warunki, byle dać tym najbardziej potrzebującym trochę powietrza wiejskiego i lepszą strawę.

W Laskach dworek przedstawia się również skromnie, choć znajduje się w lepszych warunkach — jest bowiem zupełnie odosobniony i otoczony lasem sosnowym. Tutaj mieściło się w każdym sezonie po 25 letniczek.

Jedno i drugie letnisko przedstawia dużo do życzenia pod względem higienicznych i estetycznych warunków. O ile jednak Towarzystwo dostanie te domki na własność, przyłoży — naturalnie z pomocą społeczeństwa — wszelkich starań, aby wprowadzić pożądane w nich zmiany. Przedewszystkiem jednak Zarząd musi starać się o pozyskanie funduszy na urządzenie własnych letnisk na gruncie w Otwocku, ofiarowanym Towarzystwu przez d-ra Kurtza — z zastrzeżeniem jednak rozpoczęcia budowy w roku przyszłym. Musimy więc w tym kierunku użyć wszelkich wysiłków do urzeczywistnienia tego planu, polegającego nie tylko na założeniu letniska, ale nawet czegoś w rodzaju sanatorium lub schroniska dla chorowitych pracowni.

Tymczasem chcemy zapoznać szerszą publiczność z urządzeniem wewnętrznym takich kolonii.

Przedewszystkiem cały zarząd letniska i opieka nad letniczkami spoczywa w rękach wykwalifikowanych dozorczyń, które dotychczas z całym poświęceniem i zrozumieniem swych obowiązków wykonywały wszelkie czynności. Dozór ich polega na prowadzeniu całego gospodarstwa, dopilnowaniu kucharki i dyżurnych letniczek, oraz na opiece moralnej i higienicznej nad wszystkimi letniczkami. Bez wiedzy i porozumienia się z dozorczynią na kolonii nie się stać nie może. To też dozorczyńni robi wszelkie wysiłki, aby obowiązkom tym podołać. Dla ułatwienia więc pracy, a zarazem dla wyrobienia sobie nowych dozorczyń, Zarząd pozostawił dozorczyńniom swobodę wyboru pomocnic wśród letniczek, które w tym roku wprawiały się jako praktykantki bezpłatnie, a w roku przyszłym będą uważane — według uznania dozorczyń jako płatne pomocnice.

Letniczki przyjeżdżające rekrutowały się

z pracownic rozmaitego zawodu, najwięcej jednak było pracownice igły, i te właśnie należały do najbardziej wycieńczonych. Przyjeżdżając na zupełny wypoczynek letni, nie zabierają z sobą żadnej mozolnej roboty, a na miejscu obowiązane są tylko do pełnienia dyżurów i pilnowania zdrowia swego i porządku w około siebie i ogólnego. Dyżury ich polegają na następujących czynnościach: dwie, codzień inne, dyżurne, pomagają kucharce przy gotowaniu, oraz pilnują porządku przy stole jadalnym; a w każdym pokoju — jedna — również z codziennymi zmianami — pilnuje porządku przy śłaniu łóżek, sprzątaniu i t. p. Po za tem są zupełnie swobodne i robią to, co zwykle na wsi, na wakacjach jest najbardziej pojętne: przechadzki grupkami lub wspólnie, zbieranie kwiatów, grzybów, wreszcie zabawy wspólne—obrazy żywe — czytanie, robótki, wysypianie się i żywienie z apetytami ludzi swobodnych i pełnych życia. Śniadanie pierwsze o godz. 9-ej rano, obiad o 1-ej, podwieczorek o 5 ej, wreszcie wieczerza o 8-ej — zgromadzają wspólnie wszystkich i wtedy towarzyszy zwykle wesola pogawędka, pełna humoru i zadowolenia. Po za tem codziennie odbywa się pogawędka pouczająca z dozorczynią, która korzysta z każdej sposobności, tak w domu, jak na przechadzce, aby swoim pupilkom rozjaśnić w główkach i czegoś nowego nauczyć.

Rezultat na zdrowiu u większości jest bardzo dodatni, a namacalny dowód tego przedstawia przybytek na wadze, wynoszący 6—15 funtów miesięcznie, przyczem widzi się ogromną zmianę w nastroju duchowym letniczek: przyjeżdżają one zwykle zdenerwowane i rozgoryczone tem znużeniem szarem życiem wielkomiejskim i pracą wyczerpującą — w przeważnej ilości egoistki, ubiegające się niemal o każdy kęs pożywienia. Po paru tygodniach stają się wprost przyjaciółkami. Wspólny pokój, wspólne podwórze, a przedewszystkiem wspólny cel, czyni z nich ludzi uspołecznionych, patrzących na życie nie tylko z punktu widzenia własnej korzyści lub szkody. Zaczynają się poczuwać członkami gromady, szanować wspólną własność i dbać o rozwój instytucji, zapisując się na członków. W ten sposób z korzystających jedynie z usług, stają się współpracownicami, pragnącymi choć małą cząstką przyczynić się do postępu dobra. A przytem, patrząc ciągle na przyrodę, korzystając z jej bogatych darów, zaczynają widzieć piękno jej i przywiązywać się do niej, tak jak się tylko do dobrego przywiązać można. Słowem, wyjeżdżając do pracy, stają się lepsze i pełne życia i zapału.

W tem wszystkim musimy również widzieć i zasługę dozorczyń, i w ich zapale i oddaniu się całkowitem znaleźć trochę przyczyn tak szybkiej zmiany w zdrowiu fizycznym i duchowym, powierzonych im letniczek. Zadanie to trochę trudniejsze, niż na koloniach dziecięcych. Tu mają one przed sobą ludzi urobionych rozmaitemi okolicznościami życia, ludzi opornych, a pełnych przyzwyczajęń i narowów — a tylko cztery tygodnie czasu na wpojenie w nich tych zasad choćby, które umożliwiają wspólny ich pobyt. Niech więc na tem miejscu spotka Szanowne dozorczyńnie naszych letnisk uznanie i otucha ho dalszej pracy.

Dla pełności sprawozdania muszę dodać, że obydwie kolonie pozostają pod opieką i inspekcją jeszcze jednej z członków Zarządu, w tym roku niżej podpisanej, która w czasie każdego sezonu dojeżdżała kilkakrotnie na obydwie letniska i po ogólnym przeglądzie miewała zwykle pogadanki z letniczkami, treści najrozmaitszej: higienicznej, przyrodniczej, etycznej, społecznej, wreszcie osobistej — i chcąc zainteresować działalnością Towarzystwa szersze warstwy publiczności — wzmiankę tę przesyła Szanownym czytelniczkom. Szczegółowe

zaś sprawozdanie z budżetu Towarzystwa przedstawione będzie oddzielnie w pismach, oraz na mającym się wkrótce odbyć Zebraniu Ogólnem Towarzystwa.

Marya Arct-Golczewska.



## Szkola niedzielna dla pracowni.



W d. 6-ym Października przy ulicy Zgoda 9, m. 8, otwartą została szkoła niedzielna dla pracowni p. C. Walewskiej. Umożliwi ona naukę tym sferom wyrobniczym, które nie mogą korzystać z wykładów wieczornych, urządzanych przez różne instytucje oświatowe. Godziny wykładowe od 10—2. Zapisy przyjmuje p. C. Walewska w mieszkaniu swem przy ul. Chmielnej 56, m. 7, lub Biuro Polskiego Stowarzyszenia równouprawnienia kobiet — Zgoda, 4.



## Kronika działalności kobiecej.



— W dniu 20 ym b. m., Kasa przezorności dla kobiet pracujących otwiera przy biurze instytucji sklep z produktami wytwórczości uczestniczek. Zakres przyjmowanych do sklepu prac jest bardzo szeroki, od najwykwintniejszych przedmiotów sztuki stosowanej i delikatnych haftów, do zwyczajnych, grubych pończoch, a nawet słoików z konfiturami, konserwami i t. p.

W obecnej dobie zrzeszeń i kooperatywy takie połączenie prac wywaleczyć może dla uczestniczek Kasy poważne i trwałe korzyści.

— Dzięki poparciu Macierzy z d. 11-ym z. m. przybyła nowa szkoła ochraniarek, założona przez Warszawskie Koło Ziemianek.

Nowa szkoła ma na celu przygotowanie nowego zastępu dozorczyń i kierowniczek ochron wiejskich i miejskich, które powstają w ostatnich czasach w większej ilości i, jak dotychczas, dotkliwie uczuwają brak wykwalifikowanych ochraniarek. Pomieści ona 80 uczennic, z których połowa będzie mogła mieszkać w internacie przy szkole, mieszczącej się w domu pod n rem 14 ym, przy ulicy Nowowiejskiej.

Zarząd szkoły ochraniarek stanowią pp.: Marya Rodziewiczówna, Jadwiga Warnkówna, Jadwiga Chrzęszczewska, Tola Certowiczówna, Kazimiera Gostomska, Świątkowska, Lubicz - Załęska, Klawerowa, Myszkowska, Szmidt-Czyżewska i Świdarska. Kierowniczką szkoły będzie p. Celina Bronowska.

Oplata za naukę w szkole wynosić będzie 40 rb. rocznie, nanka zaś wraz z całkowitym internatem 150 rb rocznie.

Budżet szkoły obliczono na 10,000 rb., na pokrycie czego zarząd Macierzy wyznaczył subsydyum rocznie w kwocie 4,500 rubli.

— Konkurs na powiastkę dla dzieci wiejskich.

Przypominamy, że w marcu r. b. ogłoszono za pośrednictwem „Polskiego Łanu,” konkurs na powiastkę obszerniejszą, lub zbiór powiastek, przeznaczonych dla dzieci wiejskich.

W literaturze naszej dziecięcej są rzeczy pierwszorzędnej wartości, pisane stylem barwnym, językiem poprawnym, ze znajomością pedagogiki i psychologii dziecięcej, jednak

prace te mają jedną zasadniczą wadę; z maelmi wyjątkami nie są pisane dla wszystkich dzieci.

„Książka dla dzieci” jeżeli ma odpowiedzieć zadaniu pedagogicznemu, powinna być tak napisana, aby ją mogło czytać każde dziecko, czy to mieszkające w chacie, czy w dworze, czy w suterenie, czy w pałacu.

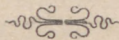
Warunki konkursu za najlepszą pracę: nagroda 50 rubli z zachowaniem praw autor- skich.

Prace winny być nadsyłane do redakcyi „Polskiego Łanu” (Foksal N-r 18), bezimiennie, opatrzone godłem; w drugiej zamkniętej kopercie godło z napisem autora.

Sąd konkursowy składają pp. Mieczysław Brzeziński, Cecylia Niewiadomska, Faustyna Morzycka, Julja Oksza i Jadwiga Warnkówna.

Termin nadsyłania prac przedłużony został do dnia 15-go Października b. roku.

Z. S.



## Chwila bieżąca.



— W wyborach do trzeciej Dumy nie weźmie udziału w Warszawie stronnictwo postępowo-demokratyczne.

— Warszawa zawsze wspominać będzie nazwisko hr. Przeździeckich, szczególnie założyciela tak niezbędnej i pożytecznej instytucji, jak Pogotowie Ratunkowe, założone przez hr. Konstantego Przeździeckiego. Dziesięć lat temu, dnia 22-go Lipca 1897-go roku ukazała się na ulicach naszego miasta pierwsza karetka Pogotowia. Od- tąd spełnia ono gorliwie służbę swoją i trudno przypu- ścić, jakby się obejść można było bez niego w czasach rewolucyjnych. Najwięcej pracy miało Pogotowie w roku 1905-ym, gdyż wzywane było 10,245 razy. Przez dziesię- cioletni okres istnienia swego wzywane było ogółem 85,310 razy. Po śmierci Konstantego hr. Przeździeckiego, przeze- sem był Gustaw hr. Przeździecki, obecnie jest nim d-r Jó- zef Zawadzki. Pogotowie utrzymuje się dzięki składkom prywatnym. Dni 4-go, 5-go i 6-go b. m. poświęcone były na obchód 10-iego-lecia istnienia Towarzystwa w Warszawie przez zbieranie składek, rabaty ze sprzedaży sklepowej, widowiska, przedstawienia teatralne i t. p., dla powięk- szenia dochodu tak pożytecznej instytucji.

— Zarząd warszawskiego okręgu naukowego stwierdza, iż bojkot szkół rządowych przez młodzież, chyli się ku końcowi. Raport swój zarząd okręgu naukowego zaopa- trzył w komentarze.

— W roku przyszłym przypada 300-tna rocznica śmierci Klonowicza. „Gazeta Kielecka” pomieszcza ob- szerny artykuł, wzywający przyrodników i Towarzystwo krajoznawcze do stworzenia dzieła o Wiśle, o zmianach, jakie zaszły od czasu stworzenia przez poetę poematu, opi- sującego Wisłę i jej brzegi.

— Związek „Miłośników muzyki” w Warszawie został z rozporządzenia władzy w dniu 25-ym z. m. zamknięty. Związek ten uprawiał przedewszystkiem grę w karty.

— Komisja zaproszona przez zarząd Towarzystwa Do- broczynności, oszacowała dobra i lasy Gościeradowa, któ- re, jak wiadomo, są ofiarowane temu Towarzystwu. Do- bra oszacowano na ogólną sumę 1,943,290 rubli.

— Wileńskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk otrzymało wspaniały dar, mianowicie gmach własny, mający wygląd prześlicznego pałacyku, posiadającego duże sale, w któ- rych znajdują pomieszczenie bogate zbiory, oraz biblioteka, zbierana jeszcze przez hr. Tyzenhausów. Ofiarodawcą jest hr. Józef Przeździecki. Oby było takich więcej!

— Czytamy w dzienniku „Ruś,” iż wynik wyborów w 45-iu guberniach, wybierających 79-iu członków do Du- my, jest taki, iż opozycja będzie posiadała więcej, niż po- łowę głosów; w 15-tu guberniach wybierających 100 człon- ków wynik jest podobny. Kadeci więc będą mieli większe powodzenie, niż w drugiej Dumie. Po wyborach kadeci zamierzają zwołać zjazd w Petersburgu.

— Senator Charitonow, członek Rady państwa, został mianowany kontrolerem państwowym.

— Prawyborców Polaków drugiej kategorii znajduje się w Petersburgu 5,000, pierwszej zaś 200—300. Niewia- domo dotychczas, czy grupa ta przyłączy się do partyi „wolności ludu,” czy też w razie niepołączenia się jej z ka- detami, utworzy blok nowy. W tym celu w kołach pry- watnych Petersburga toczą się narady.

— Przed otwarciem Dumy odbędzie się w Moskwie zjazd kadetów, pod przewodnictwem ks. Pawła Dolgoru- kowa. Skład Zjazdu określono na 276 delegatów.

— Robotnicy petersburscy utworzyli „Związek walki czynnej z pijaństwem.” Żywem słowem postanowiono również zwalczać ten nieszczęsny nałóg.

— Ku przestrodze osób, które sądzą, że opuszczając kraj, są zupełnie bezpieczne, notujemy wydanie przez wła- dze pruskie rosyjskiego poddanego, Józefa Zakrzewskiego, wbrew uchwale sądu, który odmówił wydania Zakrzew- skiego.

— W Poznaniu, mieście zamieszkałym przez 80,000 Po- laków, a 50,000 Niemców, z powodu wybuchu epidemii tyfusu na murach miasta rozlepiono rozporządzenie sani- tarne w dwóch językach: polskim i niemieckim, dla u- przystępnienia wiadomości szerszej warstwie ludności; lecz prezes regencji z wielkim oburzeniem kazał zniszczyć odezwy, gromiąc nietakt językowy. Raczej tyfus, niż pol- szczyzna!

— W prowincyi Nadreńskiej, w Mörs, odbywało się po- siedzenie jednego z tamtejszych Towarzystw polskich. Po- licya pruska wkroczyła do sali, żądając rozejścia się uczest- ników. Nie wszyscy zgodzili się na to. Ośmiu Polaków stawilo opór, rzuciwszy się na policję z nożami. Policya strzelając z rewolwerów, raniła 14-tu i zabiła dwóch Po- laków.

— Policya pruska wydalila z miasta Erbelfeldu i obrę- bu Prus 22 służące Polki, jako niewygodne obce poddane.

— Drzymale, bohaterowi dramatu politycznego, który w Podgradowicach zamieszkuje na wozie, ponieważ wła- dze pruskie nie pozwalają mu na wystawienie chaty, wiel- ka firma moskiewska S. Szarapowa ofiarowała dwa plugi, z życzeniem: „aby rosyjski plug orał w braterskich rę- kach polską ziemię.”

— W Londynie i Paryżu toczą się układy o nową po- życzkę rosyjską, której wysokość waha się pomiędzy 500 milionami a miliardem franków. Pożyczka ma być za- twierdzona przez Dumę. Donoszą też gazety brukselskie, iż między rosyjskim ministrem finansów, a konsoreyum franko-belgijskiem toczą się układy o pożyczkę krótkoter- minową w sumie 100 milionów franków.



## Od Administracyi.

Dla całorocznych prenumeratorów „Blusz- czu,” którzy wnieśli rubli 2 za 20 tomów „Książnicy,” dołącza się tom 12-ty („Książni- cy” 14-ty), zawierający Z. Sawienkowowa „Lata krzywdy.”

### Treść numeru:

Stanowisko rodziców wobec dzieci i wychowawców, referat Eugenii Żmijewskiej.— Bez celu, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy).— O zmroku (wersz), przez Ja- na Straussa.— Co się dzieje? przez J. Terpil.— Giuseppe Garibaldi, kartki z pamiętnika (dokończenie).— Ellen Key w świetle postępowych dążeń uchu kobiecego, oraz reformy wychowawczej, zarys syntetyczny, przez Maryę Cze- sławę Przewóską (ciąg dalszy).— Ze wspomnień Siostry Miłosierdzia: Antośka, przez M. Krzywdę.— Praca kultu- ralna kobiet rosyjskich, przez J. W. (ciąg dalszy).— Sztu- ka i literatura zagraniczna, przez m. ł.— Z Towarzystwa Kolonii letnich dla kobiet pracujących, przez Maryę Arct- Golczewską.— Szkoła niedzielna dla pracowni.— Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.— Chwila bieżąca.— Od Administracyi.— Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 19-ty powie- ści Piotra Loti'ego z życia współczesnych haremów turec- kich, p. t. „Rozczarowane,” w przekładzie M. Łaganow- skiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami.— Na oklad- ce Przepisy gospodarskie.